



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—.

Rok IX

Warszawa, 1 listopada 1953 r.

Nr 44 (414)

Jan KUBASIEWICZ

Wierzę w świętych obcowanie

Od wczesnych lat dzieciństwa, od chwili kiedy doszliśmy do używania rozumu i nauczono nas „dorosłego” pacierza, powtarzamy codziennie wyznanie wiary w „świętych obcowanie”. Mechanicznie powtarzamy słowa, tak wytarte w codziennym użyciu, że zatraciły wszelki sens i znaczenie, stały się pustymi tylko dźwiękami, nie prześwietlonymi wewnętrznym blaskiem Bożego światła.

Czy zastanowiliśmy się choć raz w życiu — w życiu dorosłego człowieka, któremu nie grozi żaden egzamin z katechizmu — nad tym, co właściwie znaczą obco brzmiące słowa: *świętych obcowanie*? Najczęściej nie! Najczęściej nie podejrzewamy nawet, że wymawiając je dotykamy fundamentalnej prawdy chrześcijaństwa, jednej z najgłębszych jego tajemnic. Dla uczczenia tej tajemnicy obchodzi Kościół corocznie specjalnie ustanowione święto, z biegiem lat jednak charakter jego uległ wypaczeniu i w świadomości przeciętnego katolika przyćmiło je zupełnie i niejako wchłonęło sąsiadujące z nim bezpośrednio święto umarłych, które zresztą przywykliśmy tradycyjnie święcić w kontakcie raczej z miejscem doczesnego spoczynku ciał niż, jak chce tego Kościół, z miejscem wiecznego mieszkania dusz.

To charakterystyczne przeniesienie zainteresowania z płaszczyzny najistotniejszej na mniej istotną spowodowane jest nie czym innym właśnie, jak odwróceniem proporcji w ujęciu i rozumieniu obydwu świąt listopadowych. W intencjach Kościoła, w koncepcji roku liturgicznego — są one niewątpliwie organicznie związane; nie przypadkowo jednak uroczystość Wszystkich Świętych wyprowadza Dzień Zaduszny. Chronologiczne pierwszeństwo jest tu jedynie wyrazem pierwszeństwa hierarchicznego: święto umarłych stanowi jakby naturalny wniosek z tajemnicy, którą czcimy pierwszego listopada, bez niej miałoby ogromnie ograniczone horyzonty, nie różniłoby się niczym istotnym od zaduszek pogańskich, od różnego gatunku „dziańców”.

Aby więc w tym roku przeżyć naprawdę świadomie, głęboko i naprawdę po katolicku obydwie jesienne święta, zastanówmy się nad ich istotą, ujętą lapidarnie w tych właśnie spowszedniałych, nigdy w pełni nie zrozumianych, mechanicznie powtarzanych słowach o świętych obcowaniu.

Termin polski nie jest tu najszczęśliwiej dobrany, grzeszy pewną ostrożnością sformułowania, a wielkie prawdy chrześcijaństwa, prawdy przyniesione przez Tego, któremu za rzucano „twardość mowy”, nie znoszą ostrożności, eufemizmów, niedomówień. Łaciński wyraz „communio” domagałby się raczej w naszym języku odpowiednika „wspólnota” niż „obcowanie”. Bo w dogmacie o świętych obcowaniu ujęte jest nie co innego, jak prawda o wspólnotie wszystkich chrześcijan, żywych i umarłych, i o zasadzie tej wspólnoty. Że zaś w



Michał Anioł — fragment obrazu „Sąd ostateczny”

budowli chrześcijaństwa nie ma prawdziwych, że wszystkie one łączą się ściśle ze sobą, dogmat nasz rzutować musimy z kolei na szersze jeszcze tło — dogmatu Kościoła.

Kościół, społeczność, którą pozostawił ludziom Chrystus Pan, obiecując sam przebywać w niej „przez wszystkie dni aż do skończenia świata”, nie jest organizacją typu naszych stowarzyszeń ziemskich, doczesnych; jego działalność nie reguluje statut, choćby najgenialniejszy. Błędem jest też identyfikowanie go z hierarchią kleru. Kościół — to, zgodnie z wspaniałymi metaforami Pawła, żywy organizm tętniący własnym, specyficznym życiem, które obejmuje nie tylko wszystkie trzy jego płaszczyzny: Kościół triumfujący w niebie, pielgrzymujący na ziemi i cierpiący w czyszczeniu, ale jest dla wszystkich tych płaszczyzn — jedynym. Taka sama, równie realna więź łączy nas z Kościołem widzialnym i niewidzialnym: więź życia Mistycznego Ciała Chrystusowego. Życie zaś to polega na nieustannym przepływie, krążeniu Łaski. Łaska jest sokiem docierającym wszędzie.

Jeśli życie Kościoła polega na krążeniu Łaski, to udział nasz w tym życiu, nasilenie tego udziału, zależne jest przede wszystkim od kontaktu ze źródłem Łaski, to znaczy od nasilenia naszego życia z Chrystusem i w Chrystusie. Struktura Kościoła jest zdecydowanie koncentryczna, wszystko skupia się tu w Chrystusie, w Nim bierze początek i do Niego zmierzają. Widoczna ziemская organizacja jest elementem wtórnym, opartym na pewnych potrzebach naturalnego porządku świata; naprawdę istotny

jest nieustanny kontakt z jedynym źródłem życia nadprzyrodzonego, nieustanne czerpanie z tego źródła.

Nie na tym jednak koniec. Przez sam fakt wszczęcia w Chrystusa, przez sam fakt włączenia w układ krążenia Łaski, wchodzimy w niezmiernie ścisły związek między sobą, uzależniamy się wzajemnie od siebie. Losy nasze w najgłębszym, Bożym aspekcie są ze sobą powiązane, splątane

nie tysiącem węzłów. W całym ogromnym organizmie Kościoła nie ma dwóch ludzi zupełnie od siebie niezależnych. Zależność ta może nie realizować się czy nie przejawiać w danym momencie, niemniej jednak trwa ona zawsze i nigdy nie ustaje. Ponieważ zaś życia ludzkiego nie można podzielić mechanicznie na przyrodzone i nadprzyrodzone — skoro Bóg buduje nadaturę na naturze nie

gwałcąc tej ostatniej — zatem i nasze czysto ludzkie dzieje zająbiają się wzajem nieustannie.

Więź, o której mówię, jest nieuchronnym, niemożliwym do ominięcia następstwem bezpośredniej więzi z Chrystusem i zerwać można tylko obie razem — a i to nie całkowicie, gdyż nasza własna modlitwa i ofiara uzależniają losy grzeszników od życia Kościoła, z którego, przez grzech, są mi się wyłączyli.

Katolik nie może wydzielić swojej drogi do Boga, mimo całej jej odrębności i niepowtarzalności, spośród innych dróg; nie zdoła wytyczyć jej tak, aby się z innymi nie krzyżowała. Każdy jego czyn sięga swymi konsekwencjami głęboko w społeczność Kościoła i przynosi mu pożytek lub szkodę. Nie można samotnie się zbawić ani uświęcić, samotna świętość jest pojęciem wewnętrznie sprzecznym, pozbawionym sensu. Wszelkie próby budowania dróg wyizolowanych dają w wyniku karykaturalne wynaturzenia, żalostne parodie. Kiedy przyjdzie nam u progu wieczności zdawać rachunek, zapytają nas o tych wszystkich, których los bezpośrednio czy pośrednio postawił nam na drodze, o tych wszystkich, których ścieżki biegły w poprzek naszych ścieżek. Dźwigamy na sobie olbrzymią odpowiedzialność i nikt nie usprawiedliwi nas z zamknięcia oczu na świat otaczający.

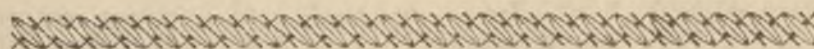
Bóg bowiem, który chce współpracować człowiekowi w dziele zbawienia świata, który — wszechmocny i wszechwiedzący — nie gwałci naszej wolnej woli, przeznaczył nam w Kościele rolę bynajmniej nie tylko bierną. On jeden jest źródłem Łaski i jej szafarzem przez swych zastępców — kapłanów, których osobista wartość czy nawet świętość nie ma na szafarstwo łask żadnego wpływu. Nam jednak, zwykłym członkom Kościoła, na których nie spłynęła szczególna łaska kapłaństwa, dał w rękę potężną broń, zapraszając nas niejako do udziału w dziele zbawienia — modlitwę i ofiarę. Nie trzeba wielkiej wartości czy zasług osobistych, by tak współpracować z Chrystusem. Współpraca ta leży przecież całkowicie w płaszczyźnie nadprzyrodzonej, a tam sami ze siebie jesteśmy całkowicie bezsilni, nic nie możemy. Żeby włączyć się czynnie w życie Kościoła, żeby stać się świadomym współpracownikiem Chrystusa, trzeba tylko żyć w Nim, czerpać łaskę. Rozporządzamy wówczas niejako całym bogactwem Ciała Mistycznego, występujemy nie jako pewne indywidualne jednostki obdarzone takimi czy innymi zaletami lub wadami, występujemy jako członkowie Kościoła i stąd płynie nieskończona wartość tego, czego dokonujemy. Prosząc Boga za dusze braci, ofiarując mu za innych własne cierpienia czy wyrzeczenia, mamy prawo mówić jak w modlitwie mszalnej przed Komunią św.: „nie patrz na grzechy moje, ale na wiarę Kościoła Twego”.

(Dokończenie na str. 2)

Barbara EYSYMONT

MODLITWA TYCH, KTÓRZY ODESZLI...

...O ciszę na naszych cmentarzach,
O brzoź zerwane ramiona,
O ptaków ranne powroty,
O wiatr bezładny w liściach,
O deszcz, płaczący się w trawie,
O mądrość we wszystkich myślach.
O uśmiech tych, co zostali,
O dobry smutek zachodów,
Ludziom o chleb powszedni,
I o powszednią pracę,
Spokojne wyjście z domu
I o spokojny powrót.
... O pokój...



Aktualne zadania katolików polskich

RUCH społecznie postępowy katolików świeckich i duchownych w Polsce Ludowej przechodził różne etapy swego rozwoju. W miarę, jak wśród katolików polskich wzrastało poczucie świadomości ideowo-politycznej i wspólnej wraz z Partią — kierowniczą siłą Polski Ludowej — odpowiedzialności za dobro i rozkwit Ojczyzny, zwiększało się również wśród nich zrozumienie słuszności drogi, obranej przez ruch społecznie postępowy.

Jednym z aktów, który miał na etapach rozwoju tego ruchu zwrotne znaczenie, było Porozumienie, zawarte w kwietniu 1950 roku między Hierarchią Kościoła Katolickiego a Rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Akt ten stał się uwieńczeniem długotrwałych wysiłków i poszukiwań koncepcji współżycia Kościoła Katolickiego z Państwem budującym socjalizm.

W ciągu następnych lat Porozumienie nie zostało poddane krytycznej rewizji, sprawdzone życiowo, wzbogacane różnymi doświadczeniami pozytywnymi a często nawet i przykrymi dla ogółu katolików polskich, którzy pamiętają jeszcze niedawny proces ks. bp. Kaczmarka. Doświadczenia te stały się punktem wyjścia dla podjęcia powtórnej oceny Porozumienia, oceny jego roli i znaczenia dla apostołatu misji Kościoła katolickiego w Polsce Ludowej, jak również oceny zadań i obywatelskich obowiązków katolików.

W październiku br. na wniosek duchownych i świeckich działaczy katolickich, biorących udział w pracy Frontu Narodowego, została powołana Komisja duchownych i świeckich działaczy przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego. Równocześnie na zebraniach w miastach wojewódzkich, gdzie powstały odpowiednie Komisje Wojewódzkie, zostały omówione wytyczne działalności duszpasterskiej i obywatelskiej katolików polskich w oparciu o tezy wygłoszonego referatu pt. „Aktualne zadania katolików polskich na tle Deklaracji Episkopatu z dnia 28 września br.”, którego tekst został następnie opublikowany w „Słowie Powszechnym” (Nr 252 z dn. 25 października br.).

Dla rozwoju ruchu społecznie postępowego wśród katolików Deklaracja Episkopatu z dnia 28 września stanowi po Porozumieniu drugi co do ważności akt.

Znaczenie i sens jej zostały specjalnie podkreślone w referacie, w którym czytamy:

„Deklaracja Episkopatu z dnia 28 września przypomina katolikom polskim bezsporne prawdy społeczne i moralne. Strzeżenie pokoju wewnętrznego, jedności narodowej, bezpieczeństwa kraju, jest wspólnym obowiązkiem wszystkich obywateli. Jest rzeczą naturalną, aby katolicy dawali wyraz swej troski o to dobro publiczne. Przestrzeżenie katolików przed zgubnymi dla sprawy Kościoła konsekwencjami wewnętrznymi czy zewnętrznymi prób nadużycia religii jest oczywistym postulatami Hierarchii”.

Deklaracja rzuciła światło na braki w dotychczasowym funkcjonowaniu Porozumienia, stając się jednocześnie...

„...podstawowym aktem normalizującym w obecnym okresie stosunki między Państwem i Kościołem. Mimo bowiem, że podstawowe zrzęby tej normalizacji zostały określone w kwietniu 1950 roku, to na jesieni 1951 roku zaszła konieczność dokonania nowego, poważnego wysiłku, aby zapewnić należyty rozwój wzajemnych stosunków między Kościołem a Państwem”.

Referat w dalszym ciągu uzasadnia konieczność ponownego, głębokiego przeanalizowania roli Porozumienia, zwłaszcza, że w okresie ostatnich czterech lat zaszły fakty, które mogłyby się odbić na istocie Porozumienia.

„W szczególności fakty ujawnione w procesie księdza biskupa Kaczmarka — czytamy w referacie — fakty, które zostały polepione w Deklaracji Episkopatu oraz decyzja Prezydium Rządu zakazująca działalności ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego, ukazały powagę problemów, wymagających rozwiązania na odcinku stosunków kościelno-państwowych, jeśli się nie chce wielkiej sprawy skierować na manowce”.

A dalej czytamy:

„Treść Deklaracji Episkopatu Polski stanowi bez wątpienia dla katolików polski społecznie postępowych

zachętę dla wzmożenia działalności w duchu większej wewnętrznej spójności, głębszej ideowości i coraz poważniejszego poczucia odpowiedzialności za warunki rozwoju Kościoła Katolickiego w Polsce Ludowej”.

Nie można pomijać faktu, że odpowiedzialność za warunki rozwoju i misja Kościoła katolickiego, która spada na barki katolików polskich, wiąże się z ich postawą społeczną i polityczną. Społeczeństwo polskie miało już możność poznania i takiego zrozumienia sytuacji międzynarodowej, aby móc obiektywnie ocenić, gdzie, po czyjej stronie jest jego droga: czy w obozie wojny i agresji, czy też w obozie pokoju; czy po stronie ucisku kolonialnego i nędzy narodów uciskanych, czy też po stronie wyzwolenia narodowego i społecznego.

Wydarzenia polityczne ostatnich lat dają ogromny materiał dowodowy, będący oskarżeniem przeciw kapitalizmowi i polityce państw kapitalistycznych ze Stanami Zjednoczonymi na czele, które wnieśli wojnę na Korei, które wywierają coraz silniejszą presję na gospodarkę Francji, Włoch, Niemiec, które wreszcie usiłują zmobilizować i pchnąć do wojny Francuzów, Włochów i Niemców.

Naprzeciw tego obozu agresji, inspirowanego przez Stany Zjednoczone, wyrasta obóz pokoju.

„Coraz to nowe miliony ludzi pracy na całym świecie zdają sobie sprawę, że to właśnie kapitalizm jest przyczyną ich nędzy i głodu, cierpienia i wojen, tworząc okrutne go systemu kolonialnego, przyczyńca upokorzenia narodów, deptania ich suwerenności. I przeciwie — coraz to nowym rzeszom ludzkości socjalistyczny ustroj społeczno-gospodarczy otwiera szerokie perspektywy wyzwolenia społecznego i narodowego. Wydarzenia czasów ostatnich uprzytomniły całemu światu, że obóz socjalistyczny jest słuszny i sprawiedliwy”.

Jaka powinna być postawa katolików wobec zagadnień, które stanowią treść sytuacji międzynarodowej? Referat daje w tej sprawie wytyczne:

„Odpowiadamy jasno — katolicy powinni walczyć o pokój, prowadzić politykę zgodną z interesami Ojczyzny, przyczyniając się jednocześnie do wyzwolenia wszystkich narodów; powinni brać pełny udział w budownictwie socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego. I dalej — konsekwentnie — katolicy w państwach kapitalistycznych, mimo trudności powodowanych aktualną polityką amerykańską, mimo ślepoty i egoizmu własnej, wielkiej burżuazji antynarodowej powinni przyczyniać się do pogłębienia i poszerzenia nurtów odrodzeniowych w swoich społeczeństwach, nurtów, które usawniają niefalszowaną wolę narodów”.

Poglądy takie podziela wielu katolików zamieszkujących różne państwa, nie wyłączając Francji, Niemiec zach., Włoch a nawet Stanów Zjednoczonych, jakkolwiek są również i tacy w tych państwach katolicy, którzy walczą z pokojem i postępnym, przeciwstawiają się poszanowaniu praw narodów.

Szczególnie ostatnie wydarzenia polityczne, jak wybory we Włoszech, w Niemczech zachodnich, strajki we Francji ukazały błędną drogę czy to chrześcijańskich demokracji we Włoszech i Niemczech zach., czy też chrześcijańskich związków zawodowych, które dały się użyć przez kapitalistów do akcji rozbijackiej strajku robotników francuskich. Przede wszystkim zaś jest bolesne to, że do akcji obrony interesów kapitalizmu został zaangażowany autorytet Hierarchii, łącznie z najwyższym dla katolika autorytetem Stolicy Świętej.

„Na tle tego samego obrazu — czytamy w referacie — z tym większą radością podkreślamy i witamy, jako twórcze zjawisko, którego waga społeczno-polityczna będzie stale wzrastać, liczne fakty tworzone przez katolików z zachodu, będące dowodem solidarności z interesami i walką mas pracujących. Ufnością w żywotne siły społeczne katolicyzmu musi nas napawać postawa tych konsekwent-

nych i odważnych księży i świeckich katolików, którzy w trudnych warunkach atmosfery na zachodzie Europy, atmosfery angażującej autorytet Kościoła w ochronie interesów świata kapitalistycznego i jego polityki, usuwają przeszkody sztucznie oddzielające naszą religię od postępu społecznego świata”.

Referat podkreśla niejednokrotnie już omawiany i akcentowany przez katoliki ruch społecznie postępowy problem postuśnienia wobec Hierarchii kościelnej:

„W imieniu ruchu społecznie postępowego katolików polskich oświadczaliśmy już i powtarzamy to ponownie, iż wszędzie tam, gdzie przejawia władza kościelna w swym autorytarnym sakramentalnym charakterze, potrafimy schylić głowę — wszędzie tam, gdzie władza kościelna będzie realizować odrębne od naszych poglądów czy przewidywania społeczno-polityczne, zachowamy niezależność sądu i działania. Czynić to będziemy w przekonaniu, że postępujemy w myśl obiektywnego dobra instytucji władzy kościelnej”.

Sprawa nadużywania autorytetu religii ma miejsce zwłaszcza w Niemczech zachodnich, gdzie za władzą kościelną dokonują się przygotowania do agresji na Polskę, przygotowania do nowej wojny światowej. Okoliczności te nakładają na katolików polskich wielkie zadania.

„Miłość Ojczyzny wyrażona w pracy i myśli stworzyła Front Narodowy w Polsce. Stało się naszą słuszną ambicją iść razem z wolnymi narodami na czele twórczych prądów historii, wiązać imię Polski ze społecznym postępnym świata. Stało się naszą ambicją budować taką potęgę gospodarczą państwa, uzbroić każdego obywatela w taki poziom wykształcenia, który nie tylko zapewni stały wzrost dobrobytu i kultury w naszym kraju, ale czyni z nas pełnowartościowego sojusznika sprawy pokoju, wyzwolenia społecznego i narodowego”.

Program Frontu Narodowego wyraża najlepsze, postępowe społecznie i nurtujące od pokoleń pragnienia Polaków. Urzeczywistnienie tego programu, budowa wielkich zakładów przemysłowych i wydzwignięcie kraju z jego zacofanej gospodarki do rzędu wysoko uprzemysłowionych państw, wyzwala ogromną siłę i energię narodową, jest aktem bez precedensu w naszej historii.

W tej dziejowej chwili przekształcania Ojczyzny w kraj wysokiej techniki i rozwiniętego przemysłu, w kraj bogaty, w kraj, w którym nie ma wyzysku i poniżenia człowieka przez człowieka — nie może zabraknąć również i katolików.

„Jakie są zadania dla działalności duszpasterskiej i wychowawczej?” — indaguje referat.

Odpowiedź brzmi:

„W trosce o wspólne dobro — odczytać trzeba najtrudniejsze bolączki społeczne i dla zaradzenia im — zrozumieć i upowszechnić moralną motywację, która płynie z katolickich przesłanek światopoglądowych”.

Niewłaściwe jest pojmowanie przez katolików nakazu miłości bliźniego, jako omijania obowiązków społecznych drogą „okupienia się” jedynie zdawkowym „dobrym uczynkiem”.

„Upowszechnić się winno także pojmowanie miłości bliźniego, które wyraża się w codziennej pracy nad budowaniem wspólnego gospodarstwa narodu. Jeśli przyjąć wyrażenie miłości jako pomoc drugiemu człowiekowi w polepszeniu warunków jego rozwoju doczesnego i duchowego, znaczenie pracy, znaczenie udziału w produkcji dóbr znajduje swe głębokie uzasadnienie moralne”.

W wielu jeszcze dziedzinach życia społecznego tkwią błędy, które wymagają oceny moralnej przez społeczeństwo katolickie. Któż, jeśli właśnie nie duszpasterze winni zająć się zwal-

czaniem np. plagi chuligaństwa i binkiarstwa wśród młodzieży, potępieniem bumelanctwa, które jest niczym innym, jak objawem lenistwa; czyż nie winno być jednym z zadań własnego duchowieństwa polskiego troska o sylwetkę moralną naszej młodzieży, troska o jej wychowanie?

„Upowszechnienie motywacji moralnej będzie coraz bardziej wszechstronne, o ile zintensyfikuje się twórczość katolików, która opierając się na pogłębieniu niezmiennych w swej istocie założeń światopoglądu katolickiego, otwarta będzie na podejmowanie zadań ogólnonarodowych”.

Wyrazem dojrzałości ideologicznej ruchu społecznie postępowego katolików polskich jest powołanie przez kierownictwo Frontu Narodowego Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich.

Również twórczość katolików naukowa, literacka, kulturalna winna zdobywać mocny wyraz ideologiczny odkrywając w przeszłości postępowe źródła myśli katolickiej i czerpiąc z nich doświadczenia do współczesnego tworzenia warunków misji Kościoła katolickiego w państwie budującym socjalizm.

„Komisje nasze — precyzuje referat — przy Komitetach Frontu Narodowego reprezentują i będą rozwijać siłę społeczno-polityczną będącą gwarantem realizacji Porozumienia między Państwem a Kościołem katolickim w Polsce, zawarte w dniu 14 kwietnia 1950 roku, a urealnione Deklaracją Episkopatu z dnia 28 września br.”.

I dalej:

„Zadaniem nas, katolickich duchownych i świeckich działaczy Frontu Narodowego, jest coraz bardziej pogłębienie postępową prebudową świadomości ideowo-politycznej ogółu duchowieństwa i katolików. Zadaniem naszym jest nieustannie powiększać wkład pracy i świadomej ofiarności ze strony ludzi wierzących w budowanie potęgi naszej Ojczyzny w myśl założeń programu Frontu Narodowego”.

W skład powołanej Komisji przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego weszli wybitni przedstawiciele nauki, literatury i działacze katolicki.

Na zebraniach, organizowanych przez Wojewódzkie Komitety Frontu Narodowego Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich założenia referatu, którego omówienie wraz z obszernymi cytatami zostało powyżej przytoczone, zostały przyjęte jako wytyczna działalności duszpasterskiej i obywatelskiej ruchu społecznie postępowego polskich katolików.



NOWOŚCI NOWOŚCI

Jan Dobraczyński
DRZEWA CHODZĄCE
Powieść

294 str. Cena zł 28.—

Wanda Leszczyńska
IDĘ DO CIEBIE
Przygotowanie do I-ej
Spowiedzi i Komunii Św.
z ilustracjami

192 str. Cena zł 12.—

Reinhold Schneider
OSKARZENIE
przekład Jerzego Gawrońskiego
197 str. Cena zł 16.—

Blaise Pascal
M Y S L I
przekład Boy-Zeleńskiego
333 str. Cena zł 32.—

Wysła Biuro Sprzedaży „PAX”,
Warszawa, Mokołowska 43, za
zaliczeniem pocztowym lub po
wpłaconiu na konto PKO Nr I-8515/114.
Przy wpłatach na PKO prosimy
doliczać zł 3.— na koszt przesyłki.

Wierzę w świętych obcowanie

(Dokończenie ze str. 1)

Zerwanie bezpośredniego, żywego kontaktu z nadprzyrodzonością, jej zapoznanie — prowadzi nieuchronnie do konsekwencji, jaskrawo wciąż jeszcze, w spadku po stuleciach poprzedzających, występującej w naszym katolicyzmie. Więć mianowicie między członkami Kościoła, ogromnie głęboka i silna, ma również charakter ściśle nadprzyrodzony. Charakter ten nadaje jej szczególnie silne znamie obiektywności, niezależności od poszczególnych ludzi i sytuacji, trwałości i jedności. Wzajemna nasza pomoc jest doskonale bezimienna. Możemy nawet wiedzieć, że ktoś się za nas modli, wolno nam wierzyć w wartość i skuteczność jego modlitwy, ale — skoro owoce należą zawsze do Boga, nie do nas — nie wiemy w końcu, czyje ramię podpiera nas w ciężkim momencie, kto przyszedł nam z pomocą. I to jest właśnie w dogmacie świętych obcowania tak bardzo piękne; to, że wspólnota dusz w Kościele wychodzi daleko poza krąg najbliższych, że dla jej szerokiego oddechu nie ma granic, nie przerywa jej nawet śmierć, bo jednoczy ona członków Kościoła triumfującego, pielgrzymującego i cierpiącego. Tak, to jest piękne i oszałamiająco wielkie, ale zarazem — przez swój nadprzyrodzony charakter — bardzo dla nas trudne, obce. Znowu wymaga uznania realności nadnaturowy, nie tylko zresztą uznania, ale zrozumienia i przeżycia.

Z odwieczną mądrością Kościół przypomina nam rok rocznie w święto pierwszego listopada, że jesteśmy jednym w Chrystusie. Widzimy teraz, jak w świetle uroczystości Wszystkich Świętych właściwego charakteru nabiera Dzień Zaduszny, święto jedności z naszymi braćmi, od których dzieli nas nieistotny w kategoriach nadprzyrodzoności próg śmierci. Oby te smutne, na ogół zapłakane deszczem dni listopadowe przyniosły nam radość przeżycia dogłębnego i pełnego naszej jedności, jedności „świętych” w Kościele.

Jan Kubasiewicz

Etienne GILSON

Swoistość porządku filozoficznego

N AJGŁĘBSZĄ i bez wątpienia najslusniejszą z przyczyn, dla których filozofia scholastyczna utraciła swoje znaczenie, jest jałowość naukowa myśli średniowiecznej i trudności, jakie się w naszych czasach napotyka, gdy chce się ją uzgodnić z wynikami nauki pozytywnej. Jałowość ta jest faktem. Nie była ona jednak całkowita — jak to sobie czasem wyobrażają osoby niedostatecznie poinformowane: w XIII wieku, na uniwersytecie paryskim oraz oksfordzkim, byli ludzie, którzy pojęli, iż jest możliwa nauka o przyrodzie bądź typu czysto matematycznego, analogiczna do nauk kartezjańskiej, bądź typu empirycznego, analogiczna do nauki arystotelesowskiej. Nie wątpili oni jednak ani trochę, że nauka taka może pozostać w zgodzie z teologią. Z powodu różnych i niewątpliwie złożonych przyczyn próba ta spełniła na niczym. Niemniej jednak, ujmując rzeczy takimi, jakie są, pozostaje pewne, że średniowieczu nie można przypisać zasługi ani jednego wielkiego odkrycia naukowego, a jeśli by nawet można było kilka takich odkryć przyznać, to zawdzięczamy je inicjatywie osamotnionych jednostek, inicjatywie, która się znajdowała poza głównym prądem myśli tych czasów.

Najważniejszą konsekwencją zmian kowanego faktu jest to, że rozwój naukowy XVII wieku nie będąc wywołany przez filozofię średniowieczną dokonał się przeciw niej. Po za jedynym, być może, wypadkiem Leibniza, którego লাżyło głębokie pokrewieństwo z Arystotelesem, około roku 1630 nie było żadnego wybitnego umysłu, któremu by się nie wydawało, iż konieczny jest wybór pomiędzy nauką i jej oczywistościami z jednej strony, a scholastyką z jej niepewnością z drugiej. Odtąd zarzuca się średniowieczu nie tylko praktyczną bezpłodność jego spekulacji, lecz także — i nawet przede wszystkim — ich bezpłodność teore-

tyczną. Zarzut tym poważniejszy, że ta filozofia perypatetyczna, która nie umiała wytworzyć nowożytnej nauki, walczy z nią od dnia jej narodzenia, zwalczając ją na gruncie astronomii, fizyki, biologii, medycyny ponosząc szereg zasłużonych porażek, z których się jeszcze nie podniosła.

Fakty takie — a można dla nich aż nazbyt łatwo mnożyć świadectwa historyczne — to więcej niż fakty: to sygnały pewnych idei. Jeżeli scholastyka nie była matką współczesnej nauki, a nawet traktowała ją po macoszemu, to prawdopodobnie nie było to wynikiem jakiegokolwiek przypadku historycznego, lecz miało przyczyny, których istotę powinniśmy odkryć. Całe zagadnienie sprowadza się do zbadania, czy scholastyka już z samej swojej istoty filozoficznej jest nie do pogodzenia z duchem nauki pozytywnej — co zresztą większość ludzi uważa za prawdę — i w którym to wypadku nie zawahalibyśmy się z naszej strony ani chwili przez jej poświęceniem. Czy też przeciwnie — co uważamy za prawdę — nie powinna być ona po prostu stać się bardziej niż dotąd wierna swej własnej istocie, aby pogodzić się z nauką, a nawet pomóc jej w rozwoju.

F ILOZOFIA znalazła się w punkcie, z którego — jak się wydaje — trudno jej pójść dalej na drodze własnego rozpadu. Ponieważ jednak ostatni krok drogi jest pierwszym krokiem powrotu — jest to być może punkt, w którym narzuca się refleksja przygotowująca wejście na nową drogę. Na pierwszy rzut oka wszelka idea nawrotu do filozofii średniowiecznej wydaje się całkowicie absurdalna. Ona to przeżyła się żałośnie w dogmatycznych metafizykach XVII stulecia; nauka eliminując wszelką metafizykę do-

konała eliminacji samej scholastyki. Po trzech wiekach nieprzerwanego postępu naukowego, tego postępu, który wtrącił do lamusa świat Arystotelesa — jakżeż można mówić o powrocie do tego świata?

Lecz nie o to bynajmniej chodzi i to nie tylko ze względów oportunistycznych, które jakkolwiek naglące, nie mają w sobie nic filozoficznego, lecz dlatego, ponieważ musimy potępić bezpłodność naukową średniowiecza dla tych samych racji, dla których dziś potępiamy bezpłodność filozoficzną scyentyzmu. Arystoteles również przesadzał w ocenie doniosłości nauki i wartości swej metody ze szkodą dla innych. W pewnym sensie trudniej jest go usprawiedliwić, aniżeli Descartes'a: Arystoteles popadał bowiem w ten sposób w jawną sprzeczność z wymogami swej własnej metody, podczas gdy Descartes szedł tylko za swoją. Pod względem filozoficznym jest to błąd w każdym razie mniej niebezpieczny: jest to błąd faktyczny, który nie narusza w niczym samego prawa. Zbiologizować to, co nieorganiczne — jak to czynił Arystoteles i filozofowie średniowieczni — znaczy skazać się na niewiedzę w zakresie nauk o świecie nieorganicznym, których obecna popularność jest spowodowana przede wszystkim tym, że dowiodły one swej nieograniczonej płodności praktycznej. Zmatematyzować całkowicie i zasadniczo wiedzę — to niezwykle ograniczyć fizykę i chemię, uczynić niemożliwą biologię, metafizykę i w konsekwencji etykę. Oto sprawa, którą należy bliżej wyjaśnić.

Dla filozofa realisty myśl nie ma innej treści prócz tej, którą jego zdolności poznawcze pozwalają mu wyabstrahować z rzeczy i którą wypracowuje dzięki swym zasadom. Tego rodzaju postępowanie nie ma dla niego nic nienormalnego, tym bardziej, że w średniowieczu jest on chrześcijaninem, ponieważ zaś świat chrześcijański jest tworem Boga, a nie człowieka, przeto filozofia chrześcijańska odruchowo podchodzi do problemów z punktu widzenia przedmiotu. Bez wątpienia każdy z filozofów średniowiecznych przyznałby chętnie Descartes'owi, że nauki wzięte łącznie są tylko tym, co zdolny jest objąć umysł ludzki, zawsze jeden i ten sam, bez względu na mnogość problemów, którymi się zajmuje; lecz jeśli umysł ludzki wzięty sam w sobie jest zawsze jednym, to rzeczy, którymi się zajmuje, są różne i dlatego to jego sposoby zbliżania się do tego, co rzeczywiste, powinny być tak różnorakie, jak różno-raka jest sama rzeczywistość. Arystotelesowska rozprawa o metodzie jest zatem rzeczą niemożliwą; można mówić jedynie o rozprawie o metodach. Porządkowi ilości abstrakcyjnej odpowiada porządek nauk matematycznych, a i to musi się on różnicować w zależności od tego, czy chodzi o ilość ciągłą, czy nieciągłą, o geometrię, czy o arytmetykę. Porządkowi fizyki odpowiada własna metoda, ponieważ trzeba badać ruch i własności ciał nieorganicznych. Porządkowi biologii odpowiada jeszcze inna metoda, ponieważ podejmuje ona badanie bytów uorganizowanych. Tak samo ma się rzecz z psychologią, etyką, socjologią. Całkowicie niestosowne byłoby uważanie tych różnych metod za izolowane, bowiem metoda nauki bardziej abstrakcyjnej jest nadrzędna w stosunku do metod nauk bardziej konkretnych i rozciąga się na ich dziedzinę. Są to jednak metody specyficzne, które pozostają różnymi, podobnie jak każdy porządek tego, co rzeczywiste, choćby z racji swej odrębności, wymaga przystosowania do pewnego sposobu badania. W ten sposób Mądrość, czyli filozofia pierwsza, czyli metafizyka tworzy za sady kierownicze dla wszystkich innych nauk i ujmując rzecz po ludzku nie zależy od żadnej. Tak jak poszczególne nauki badają różne mody bytu, tak metafizyka bada sam byt w jego istocie i właściwościach. Jest to nauka o bycie jako bycie. Matematyka jest nauką o ilości. Fizyka — nauką o bycie w ruchu. Biologia — o bycie żywym. Psychologia — o bycie poznającym, a socjologia o bycie ludzkim żyjącym w społeczeństwie. Nic nie może być bardziej zrozumiałego i bardziej giętkiego niż takie stanowisko i nie wiadac a priori, czemu filozofia, która stanowiła do tej pory, miałyby być niezgodna do interpretowania któregoś z porządków tego, co rzeczywiste.

I rzeczywiste nie jej do tego nie zmuszało. Błędem Arystotelesa byłoby, iż nie pozostał wierny swojej zasadzie: jedna nauka o rze-

Madonna w Dębnie Nowotarskim

NA drodze między Nowym Targiem a Czorsztynem, przy zbiegu rzek Białki i Białego Dunajca, leży prastara, góralska wieś Dębno. Już w r. 1335 był tu kościół parafialny pod wezwaniem św. Michała Archanioła, istniejący zaś obecnie niewiele jest młodszy. Pochodzi z drugiej połowy w. XV. Stoi w ogrodzeniu z dylów układanych na zrąb z dwiema czworobocznymi bramkami. Sam kościół drewniany, o konstrukcji zrębowej, z wieżą na słup, obity częściowo i nakryty gontem, znany jest z pięknych malowideł zdobiących jego wnętrze. Ściany i stropy oraz niektóre sprzęty pokryte zostały około r. 1500 doskonale zachowaną bogatą polichromią niby kobiercem



o wzorach geometrycznych, roślinno-kwiatowych i figuralnych, przedstawiających walkę św. Jerzego ze smokiem, wyjazd na polowanie, jelenie, ptaki itp. Prawdziwą ozdobą jednak tego leżącego na uboczu, wiejskiego kościoła jest niezmiernie cenny, wczesno-renesansowy tryptyk w ołtarzu głównym. Z obrazu środkowego patrzy na nas Matka Boża z Dzieciątkiem na ręku w otoczeniu św. Michała Archanioła i św. Katarzyny. Skrzydła boczne zdobią postacie świętych i sceny Męki Pańskiej, w nasadzie — Ukrzyżowanie.

Obraz ten malowany przez nieznanego artystę, być może z Krakowa, w pierwszych latach w. XVI, a więc w czasie, gdy Renesans zawitał już do Polski, wywiera na patrzącego głęboki urok: Matka Boża nosi tu szaty skromne, niemal surowe w swej prostocie. Na głowie nie ma korony, a gładkie uczesanie włosów otoczone aureolą okala łagodnie nachyloną twarz o drobnych, regularnych rysach i dziwnej słodczyj wyrazu. Zwraca uwagę piękny zarys lewej dłoni Matki Bożej podtrzymującej Dzieciątko. Po lewej stronie — św. Katarzyna z godkami swego męczeństwa: mieczem i kotłem w dłoni. Po prawej św. Michał w renesansowej zbroi rycerskiej, o doskonale modelowanej twarzy, trzyma w prawicy miecz wzniesiony w górę, w lewej wagę. Na dolnej szali wagi maleńki grzesznik grzechami swymi przeważa szalę górną z symbolem męczeństwa.

Całość jest prawdziwym arcydziełem malarskim z pierwszych lat sztuki Odrodzenia w Polsce.

K.

Filozof chrześcijaństwa

W książce poświęconej działalności naukowej Gilsona*) pisał J. Maritain: „Tam, gdzie sądzicie, że napotkacie filozofa, znajdziecie człowieka”. Gilson bowiem — głęboki badacz chrześcijańskiej filozofii średniowiecznej — jest nie tylko uczonym. Powodzenie w swej pracy zawdzięcza cechom charakteru i umysłu, które pozwoliły mu dokonać dzieła ponad miarę sił jednego człowieka: obalił w francuskich kołach sceptycznych, przenikniętych duchem filozofii idealistycznej, legendę o „mroczakach średniowiecznej scholastyki” i przywrócić należytą ocenę i powagę dziełom filozofów chrześcijańskich.

A więc najpierw parę słów o człowieku.

Stefan Gilson urodził się 13 stycznia 1884 roku. Jako jedenastoletni chłopiec rozpoczyna studia w Małym Seminarium Notre Dame des Champs, które kończy w r. 1902. W tym samym roku odbywa służbę wojskową, po czym na uniwersytecie studiuje historię i filozofię. Po uzyskaniu dyplomu pracuje jako nauczyciel. Jednocześnie prowadzi badania naukowe. W r. 1913 uzyskuje tytuł doktora i publikuje „Indeks scholastyczno-kartezjański”, w którym udowadnia wpływ myśli scholastycznej na filozofię Kartezjusza. W 1914 r. Gilson znajduje się w szeregach armii. Na czele plutonu karabinów maszynowych bierze udział w walkach pod Verdun. Zdobywa wysokie odznaczenie — „Croix de guerre”, ale — przy wypany w kazamacie — dostaje się do niewoli niemieckiej. W ciągu trzech lat pobytu w obozie jenieckich Gilson intensywnie pracuje. Uczy się obcych języków, pisze rozprawy naukowe. Po wojnie zostaje profesorem w Strassburgu. W tym czasie ogłasza jako jedno ze swych najcenniejszych dzieł: „Tomizm — wstęp do filozofii św. Tomasza z Akwinu”, które doczekało się pięciu wydań. W r. 1921 jest już profesorem historii i filozofii średniowiecznej w paryskiej Sorbonie. Publikuje „Studia nad filozofią średniowieczną”. W r. 1922 wydaje dzieło „Filozofia średniowieczna”, w r. 1924 inne — „Filozofia św. Bonawentury”, w r. 1929 — „Wstęp do filozofii św. Augustyna (**). W roku

1932 ogłasza wielką i niezmiernie interesującą pracę: „Duch filozofii średniowiecznej”; w tym samym roku zostaje Gilson profesorem historii i filozofii średniowiecznej w Collège de France. W r. 1934 drukuje pracę o „Teologii mistycznej św. Bernarda”, w roku zaś 1937 — jedna ze swych najciekawszych rozpraw: „Realizm metodyczny”. W roku 1939 ogłasza: „Realizm tomistyczny i krytyka poznania”, „Dante i filozofia” oraz „Mądrość św. Franciszka”. Po II Wojnie Światowej ogłasza Gilson rozprawę „Dusza rozumna u Alberta Wielkiego” oraz szereg innych. W r. 1948 ukazuje się większa praca: „Byt i istota”.

Działalność naukowa Gilsona znalazła szerokie uznanie w świecie naukowym. Uniwersytety zagraniczne obdarzają go doktoratami honorowymi, a obce akademie i Academia Pontificia na czele, powołują go na członka. W r. 1947 zostaje Gilson członkiem Akademii Francuskiej. Jego wejście do grona „Niesmiertelnych” jest wydarzeniem o dużym znaczeniu. Uznanie dla dorobku naukowego Gilsona musiało się łączyć z uznaniem dla koncepcji naukowej, którą reprezentował. Było ono rehabilitacją w świecie naukowym tego kierunku myśli, którego najwyższym wykwitem jest działalność filozoficzna św. Tomasza z Akwinu.

Najwyższą rangę naukową w swej ojczyźnie osiągnął Gilson nie tylko dzięki temu, iż jest on, wedle słów Maritaina, „doskonałym pisarzem, skończonym humanistą, obeznanym z literaturą”, że „posiada wykształcenie teologiczne, którego brak tak wie lu filozofom”. Jest on bowiem ponad to szczerym katolikiem, dla którego wiara, podobnie jak dla mistrzów XIII wieku, nie stanowi przeciwnieństwa wiedzy, ale jej uzupełnienie. Wielka rzetelność i odwaga umysłowa Gilsona sprawiła, że nie ugiął się przed tyranią filozofii idealistycznej, która panowała w naukowych kołach francuskich. Dzięki temu stał się jednym z uczonych, którzy zapoczątkowali odrodzenie filozofii katolickiej.

W książce poświęconej Gilsonowi o której wspominaliśmy na wstępie, nadano mu miano: „Filozofa Chrześcijaństwa”. Nazwa to zaszczytna. Gilson jest następcą tych filozofów katolickich, którzy ponad granicami czasu i przestrzeni poszukują tu na ziemi prawdy, która jest odbiciem Prawdy Przedwiecznej.

Jerzy Krasnowolski

*) Etienne Gilson — Le philosophe de la Chrétienté. Rencontre. Ed. Cerf. Paryż 1949. Praca zbiorowa.

**) Polski przekład „Wstępu do filozofii św. Augustyna” ukazał się w b. r. nakładem PAX-u.

(Dokończymy na str. 9)

362-1 SZCZAWIŃSKI

rys. A. HOFFMANOWA

Anna NIKLEWICZ

Wierzę w świętych obcowanie

★

Wierzę w świętych obcowanie,
w ścieżkę trudną nad wiecznością
wierzę — w poza czas i pamięć
sięgający, wspólny Kościół.

Wierzę, że nie gaśnie w śmierci,
żadna myśl i czyn serdeczny.
Ci, co odwołani wcześniej,
nas prowadzą w żywot wieczny.

Święci, którym powierzono,
każdy krok nasz, każdy oddech
rzucą w chwałę most zwodzony,
na łańcuchach naszych modlitw.

SAMOTNYM



Drzewem wśród równiny
trawą zasianą na skale,
krzewem bezlistnym, krajem pustynnym,
z krwi osuszonym ciałem —
są wasze dni samotne.

Drzewo, trawa i krzew,
kraj pusty, ciało bez barwy
raz im przydaną samotność
do kresu donieść muszą.
Ludziom w smutek rzuconym,
gdy z bliźnim dniem się podzielią
nie będzie krzyż znakiem śmierci
a życie oczekiwaniem.

PRZEŚLANIE

Odrzućcie ból, by się nie kładł
mgłą, która dzieli od zmarłych.
W radości innym oddanej
szukajcie drogich wam twarzy.

RODZICOM

Zanim odwinęto mnie z dzieciństwa,
nim świat ulano do mej świadomości,
Bóg zdjął ze mnie wasze ręce,
powierając dziecko opiece innych.

Towarzyszyście moim krokom,
nieznani mi
a równie przybliżeni,
jak troska przybranej matki.
Poza krąg widzialnych rzeczy,
przedłużacie jej starania
i uczucia tych,
u których serce zaciężylem.

Cóż, że śmierć
rozproszyła wasze słowa,
że piękno twarzy
oddaliście kwiatom i drzewom.
Jesteście bliżej mnie,
niż niepokój mego puls,
niż przepływy myśli —
tak blisko
jak ból i radość.

CMENTARZE

Pulsują przemiany drzew,
trawy rodzą się i więdną.
Pocierzy wierny szep
rozgarnia grobu ciemność.

Alejką nie tylko ból
i deszcze wśród liści brodzą.
Tędy wielu krzyż wiódł
w niepokonaną młodość.

Cmentarzy cichy świat
pokoleniami rosący,
kępą drzew ziemskich spadł
na rozległe wieczności łuki.

★

Krzyża nie lęka się myśl.
Ciało nie boi się ziemi.
Łatwo nam wstać i iść
kiedy smartwychustajemy.



Jak ziarno wśród Bożych miedz
przykryte śmierci plugiem,
czekamy, aby wejść
w łaski i woli strugach.

NA PÓLCE KSIĘGARSKIEJ

„Myśli” Pascala

WŚRÓD ostatnich pozycji PAX-u
znajdujemy drugie wydanie „Myśli”
Pascala — jedno z najwspanialszych
dzieł literatury światowej, stanowiące
zarazem jedną z najbardziej przejmują-
cych, obok „Wyznań” Augustyna, hi-
storii człowieka szukającego prawdy.
Można czytać „Myśli” pod wieloma
aspektami: można odkrywać w nich głę-
bokie filozoficzne dociekania i sformu-
lowane albo podziwiać język i styl, który
nazywano w literaturze epoka. Można z
„Myślam” w roku zarlatwie się modlić
zarazając się tą wiarą i sję, z jaką pisał
le Pascal. Można wreszcie spojrzeć na nie
od tej strony, która we wszystkich cza-
sach ma dla nas swoją największą wmo-
wę — od strony historii człowieka dą-
jącego do Boga. Na drodze do prawdy po-
znajemy dopiero, kim jesteśmy i odkry-
wamy swą prawdziwą wielkość i nędzę.
Wybrane tu fragmenty „Myśli” niech
nam przypomina Pascala.

jest nędzny: jest tedy nędzny, skoro
nim jest: ale jest wielki, skoro wie
o tym. (416).

★

Człowiek jest tylko trzcina, najwąt-
lejszą w przyrodzie, ale trzcina my-
śląca. Nie potrzeba, by cały wszech-
świat uzbroił się, aby go zmiażdżyć:
mgła, kropla wody wystarczy, aby go
zabić. Ale gdyby nawet wszechświat
go zmiażdżył, człowiek byłby i tak
czymś szlachetniejszym niż to, co go
zabija, ponieważ wie, że umiera i zna
przewagę, którą wszechświat ma nad
nim. Wszechświat nie wie nic. Cała
nasza godność spoczywa wtedy w
myśli. (347).

★

Mysł stanowi wielkość człowieka.
(346).

★

Człowiek wyraźnie stworzony jest
do myślenia, to cała jego godność:
cała zaś jego zasługa i cały obowią-
zek to myśleć, jak się należy. Otóż
porządek myśli jest ten, aby zacząć
od siebie i od swego Stwórcy, i swe-
go celu. (146).

★

Jakże daleko jest od poznania Boga
do kochania Go. (280).

Jeśli człowiek nie jest stworzony
dla Boga, czemu jest szczęśliwy tyl-
ko w Bogu? Jeżeli człowiek jest stwo-
rzony dla Boga, czemu jest tak prze-
ciwny Bogu? (438).

★

Nieśmiertelność duszy, rzecz dla
nas tak ważna, dotycząca nas tak
głęboko, że trzeba chyba zatracić
wszelkie uczucie, aby być obojętnym
w tym względzie. Wszystkie nasze
uczynki i myśli muszą iść różnymi
drogami wedle tego, czy mamy spo-
dziewać się dóbr wiekuiących czy nie;
nie podobna nam uczynić jednego kro-
ku z rozsądkiem i zastanowieniem,
o ile nie miarkujemy go wedle tego
punktu, który ma być naszym osta-
tecznym celem.

Toteż pierwszą sprawą i obowią-
kiem jest oświecać się w tym przed-
miocie, od którego zależy całe nasze
postępowanie. Dlatego to wśród lu-
dzi nie posiadających wiary czynię
ogromną różnicę między tymi, którzy
pracują ze wszystkich sił, aby się
oświecić, a tymi, którzy żyją nie zada-
jąc sobie tuudu i nie myśląc o tym.
(194).

★

Istnieją tylko dwa rodzaje ludzi:
sprawiedliwi uważający się za grzesz-
ników, grzesznicy uważający się za
sprawiedliwych. (534).

W.S.

Sprawa nie tylko Gilsona

R OZPATRUJĄC dorobek nau-
kowy Etienne Gilsona nie od-
rzeczy będzie zwrócić uwagę na jego
postawę polityczną, którą zmanifesto-
wał trzy lata temu. Sprawa, którą
chcę tu przypomnieć, stała się w
owym czasie przedmiotem licznych
kontrowersji i polemik na Zachodzie.
Działo się to w roku 1950. Stany
Zjednoczone w sposób coraz brutal-
niejszy narzucały politykę rządów
krajów Europy zachodniej i remili-
taryzowały Niemcy zachodnie. Bez-
nadziejna wojna w Indochinach to-
czyła się już od paru lat, w Korei
od kilku miesięcy. Sytuację politycz-
ną tego okresu tygodnik amerykański
„Time” z dn. 26 lutego 1951 r.
opisywał w ten dość specyficzny spo-
sób:

„...Sojusznicy Ameryki spisują się
w Korei coraz lepiej. W Lake Suc-
cess po wielu tygodniach debat
Stany Zjednoczone skłoniły swoich
sprzymierzeńców do głosowania za
swoim wnioskiem. Wynik tego gło-
sowania 44 : 7 dowodzi, że mocne kie-
rownictwo wywołuje mocny oddech.
...Dozbrajanie Europy zaczyna po-
stępować naprzód, w Waszyngtonie
podpisuje się umowy o dostarczenie
broni obliczone w miliardach dola-
rów. Nowa ustawa o służbie wojsko-
wej nie napotyka na większą opo-
zycję...
...Obrona Europy bez natychmia-
stowego uzbrojenia Francji jest nie-
możliwa. Stany Zjednoczone nie bę-
dą już mogły pozwolić, żeby Francja
się z tym ociągała i będą musiały ją
zmusić do intensywniejszych zbro-
jeń, co przyczyni się do zmniejsze-
nia obaw Francji przed remilitary-
zacją Niemiec.

USA będą musiały skłonić Fran-
cję, by skrepiowała Francuską Par-
tję Komunistyczną; tym samym u-
niemożliwi się jej działanie na tyłach
armii atlantyckiej”.

Program, jak widać z tych kilku
cytatów, sformułowany dość jasno
i bez niedomówień. W tym właśnie
okresie ruch obrońców pokoju roz-
wijał się coraz szerzej, zyskiwał co-
raz więcej zwolenników, którzy byli
zdecydowani przeciwstawić się polity-
ce wojennej rządów. Wielu jednak
ludzi nie wierzyło w możliwość zapo-
bieżenia wojnie, omanieni propagan-
dą wierzyli, że jest ona nieuniknio-
na, że nie nie zdoła jej powstrzymać,
a najlepsze co można zrobić w takiej
sytuacji — to trzymać się na ubo-
czu. Do tych ludzi należał Etienne
Gilson.

Obserwując rozwój sytuacji mię-
dzynarodowej w okresie powojennym
i wewnętrznej sytuacji Francji, do-
szedł on do dwóch zasadniczych wnio-
sków. Po pierwsze, że przyczyną ist-
niejącego i wzmagającego się wów-
czas napięcia w stosunkach między-
narodowych nie jest polityka Związ-
ku Radzieckiego, lecz Stanów Zjedno-
czonych, które wytrwale dążą do
„krucjaty antykomunistycznej”, a po
drugie, że rząd francuski, podporzą-
dkowany całkowicie dyktatowi Sta-
nów Zjednoczonych, prowadzi polity-
kę, która musi skończyć się wojną,
klęską i zniszczeniem Francji. W
związku z tym Gilson zaczął nawo-
ływać do wycofania się z udziału w
paktie atlantyckim, przywrócenia nie-
zależności polityki francuskiej i za-
chowania neutralności.

Te swoje przemyślenia Gilson ogło-
sił w r. 1950 w szeregu artykułów.
W lipcowym numerze biuletynu wy-
danego przez uczonych amerykań-
skich badających energię atomową
ukazał się jego artykuł na temat In-
tencji kierujących polityką Związku
Radzieckiego, w którym pisał mię-
dzy innymi tak: „...Rosja weszła na
drogę eksperymentów gospodarczych,
od których powodzenia lub klęski za-
leży powodzenie lub klęska ustroju.
Darmowe rozdawanie chleba dla
wszystkich nie jest jeszcze faktem,
lecz jest faktem 50% zniżka cen
wprowadzona w ciągu kilku dni... Re-

wolucja rosyjska jeszcze się nie skoń-
czyła, lecz jest w toku. Główną tros-
ką rządu radzieckiego jest szczęśli-
we doprowadzenie jej do końca. Tros-
ka ta nie da się połączyć z zamie-
rzeniami wojennymi — czyż wobec
tego nie jest absurdem przypuszczać,
że zamierzenia takie istnieją?”.
Warto tu na marginesie zwrócić u-
wagę, w jak szybkim tempie postą-
piła naprzód od tego czasu faszysty-
zacja życia w Stanach Zjednoczonych
— dziś wydrukowanie podobnego ar-
tykułu nawet przez cudzoziemca jest
nie do pomyślenia. W sierpniu tego
samego roku Gilson opublikował w
burżuazyjnym dzienniku paryskim
„Le Monde” serię artykułów, w któ-
rych nawołując do zachowania nie-
zależności i neutralności wykazywał
katastrofalne skutki, do jakich pro-
wadzi Francję polityka narzucona
jej przez Stany Zjednoczone w ra-
mach bloku atlantyckiego („Amery-
ka raz jeszcze za swoje dolary chce
kupić naszą krew”). Wreszcie wkrót-
ce potem oświadczywszy, że Francja
dąży do własnej zguby, że awantur-
nicza polityka rządu wpędzi ją w
strasliwe nieszczęścia, których on
nie chce dzielić, Gilson wyjechał do
Kanady, by w jednej z placówek
naukowych w Toronto, z którą był
od bardzo wielu lat związany, kon-
tinuować swoje prace badawcze nad
filozofią średniowieczną.

Publiczne wypowiedzi Gilsona i je-
go wyjazd wywołały falę oburzenia
w kołach reakcyjnych po obu stro-
nach Atlantyku. W prasie francuskiej
posypały się pogardliwe i obraź-
liwe artykuły, piętnujące go jako
„czerwonego”, „krypto-komunistę”, o-
skarżające go o defetyzm i „zdradę
sprawy Zachodu”. Nie zabrakło rów-
nież obelżywego komentarza w kato-
lickiej prasie amerykańskiej. Ukazał
się on na łamach „Commonwealu”
w postaci listu otwartego prof. Wal-
demara Guriana, który zarzucił Gil-
sonowi podkopywanie „woli oporu”
i dawanie racjonalnej podstawy dla
„tehórzostwa i kapitulancwa” Fran-
cuzów, nie mówiąc już o długim wywo-
dzie na temat wody na młyn komu-
nistów. Za Gilsonem ujęła się prasa
lewicowa, wykazując wprawdzie
błędne, pesymistyczne rozwiązanie,
ale wyrażając uznanie dla jego traf-
nej oceny polityki atlantyckiej, któ-
rą miał odważyć wypowiedzieć pu-
blicznie. W obronie Gilsona stanęły
w pewnej mierze również niektóre
centrowe pisma katolickie, jak
„Esprit”.

Oczywiście, że neutralistyczna kon-
cepcja Gilsona jest politycznie błęd-
na. Błędna, bo nierealna. Nie ma
dziś na świecie miejsca na trzecią
siłę, żaden kraj europejski nie mo-
że na dłuższą metę przyjąć postawy
neutralnej. Nieopowiedzenie się po
stronie obozu pokoju jest automa-
tycznie udzieleniem poparcia obozo-
wi wojny.

Błędem jego było również bierne
ustosunkowanie się do dostrzeżonego
zła, wyrażony na druczku półkule za-
miast włączenia się w ten nurt na-
rozu stancuskiego, który walczył o
zapobieżenie wojnom i zmianę polity-
ki kolejnych rządów francuskich.

Sprawa Gilsona odbiła się głośnie-
nie w całej Francji i nie tylko
we Francji. Przyczyniła się niewąt-
pliwie do wzrostu neutralistycznych
nastrojów w społeczeństwie francus-
kim. Wielu ludzi, którym Gilson o-
tworzył oczy i wskazał grożące nie-
bezpieczeństwo, poszło w swoich prze-
myśleniach dalej i konsekwentnie od
niego. Wielu z nich bierze teraz
aktywny udział w walce o zmniejsze-
nie napięcia sytuacji międzynarodowej
i zapewnienie światu trwałego
pokoju. Dlatego sprawa Gilsona, mi-
mo błędnego rozwiązania, zasługuje
na przypomnienie.

Anna Niklewicz

Andrzej Krzysztof WĘGIERSKI

O stosunkach kulturalnych polsko-czeskich

STOSUNKI kulturalne polsko-czeskie w okresie dwudziestolecia, a także lat powojennych, nie opracowane dotąd, czekają na monografię. W Polsce nie opublikowano z tego zakresu żadnej pracy. Trochę lepiej wygląda to zagadnienie w Czechosłowacji. Znakomity polonista czeski prof. dr Karol Krejczy — na marginesie prac przygotowawczych do dziejów literatury polskiej (praca ta ukazała się już) — opublikował szereg cennych artykułów. Są to m.in. „Tradice czesko-polského přátelství” i „Literatura polska w ludowo-demokratycznej Czechosłowacji”. Prace te jednak z reguły pomijają okres dwudziestolecia, poświęcając mu najwyżej zdawkowe uwagi.

Artykuł niniejszy nie ma ambicji ujęcia całokształtu zagadnienia — na wet w dziedzinie literatury. Będzie to próba — częściowego przynajmniej — wypełnienia nie zapisanej przez historyka kultury i literatury karty stosunków polsko-czeskich ostatnich 35 lat — podjęta dla uczczenia narodowego święta Czechosłowacji, przypadającego 28 października. W dniu tym lud czechosłowacki obchodzi 8 rocznicę nacjonalizacji przemysłu, będącej — przed lutym 1948 — jedną z podstawowych zdobyczy mas pracujących. Lata międzywojenne stanowią w historii naszych stosunków sąsiedzkich z Czechami okres smutnych nieporozumień. Za ten stan rzeczy ponosi odpowiedzialność zarówno polska sanacja, jak czeski rząd burżuazyjny Masaryka i Benesza. Spór o skrawki pogranicza wywołał fale wzajemnej niechęci, zakończony niesławnym czynem polskiego oręża w dniach pomonachijskich. Odbiło się to na współpracy politycznej i wymianie kulturalnej między naszymi państwami, mającej blisko tysiącletnie tradycje. Sfery rządzące sztucznie podtrzymując nieprzyjazne nastroje wobec Czechów — wyraźnie kokietowały Słowaków. Ułatwienie formalności granicznych pozwalało na urządzanie wycieczek w głąb terytorium słowackiego, publikacje specjalnych wydawnictw (np. luksusowe wydanie pracy zbiorowej „Słowacja i Słowacy” t. I — II 1937 — 8) zapoznawały czytelnika polskiego z krajem i kulturą tatrzańskich pobratymców. Przy równoczesnym braku podobnego — oficjalnego — zainteresowania „ziemiemi historycznymi” — ma to swoją wymowę polityczną.

Nie znaczy to jednak, że istniała „żelazna kurtyna”, przez którą nie dochodziły żadne wieści. Wystarczy przewertować czasopisma i katalogi bibliograficzne, a od razu rzuci się w oczy fakt, że literatura czeska znajdowała ciepłe przyjęcie wśród czytelników polskich — i na odwrót — pisarze polscy cieszyli się poczytnością u Czechów.

Literatura czeska w ostatnich latach XIX i na początku XX stulecia coraz wyraźniej wychodzi z okresu odrodzeniowego, okresu tworzenia współczesnego języka literackiego i

prób wyrażania nim treści artystycznych. Prace uczonych-slawistów Dobrowskiego, Jungmanna, Szafarzika i pierwszych poetów i pisarzy Puchmajera, Kollara, Czelakowskiego i Nemcovej — dowiodły, że jest on doskonałym instrumentem literatury naukowej i pięknej. W latach późniejszych — dziełami Nerudy, Czecha, Vrchlickiego, Machara, Brzeziny, a przede wszystkim Karola Czapka — stanęła literatura czeska na poziomie europejskim.

Nie więc dziwnego, że i w Polsce budzi zainteresowanie.

W latach dwudziestych pojawiają się pierwsze — w niepodległej Polsce — przekłady. W fazie wstępnej działają znani już poprzednio tłumacze: Przesmycki-Miriam, Szukiewicz, Hulka-Laskowski, — później Witold i Maria Bunikiewiczowie, Stella Olgierd, Stanisław i Kazimiera Alberti, Julia Dutkowska-Fischerowa, Kazimierz Andrzej Jaworski i inni. Wybitną rolę odgrywa Bohumil Vydra, który wydaje prace o literaturze czeskiej i poprzedza przekłady przedmowami. Z uczonych polskich wymienić należy przede wszystkim prof. dr Tadeusza Leh — Splawińskiego, T. St. Grabowskiego, którzy publikują m. in. prace z dziedziny językoznawstwa i literatury czeskiej, dalej dr Magierę, Bobka, Pogonowskiego i Batowskiego.

Zestawić bibliografię przekładów z literatury czeskiej i prac jej i języka czeskiego dotyczących — bez dłuższego przygotowania niesposób — a oddająca nieocenione przysługi „Bibliografia” Kołodziejczyka nie znajduje tu zastosowania, doprowadzona bowiem została tylko do r. 1911.

Jest rzeczą charakterystyczną dla tego okresu (w przeciwieństwie do lat po II wojnie światowej) duża ilość pozycji poetyckich. Tak też w r. 1924 Witold Bunikiewicz wydaje „Współczesną lirykę czeską”, tom zawierający przekłady 28 poetów czeskich, m.in. piękne wiersze ks. Ksawerego Dvorzaka — wybitnego poety katolickiego, jednego z inicjatorów artystycznego ruchu księży czeskich, nazwanego przez znanego krytyka, F. V. Krejczego „Katolicka Moderna”. „Współczesna liryka czeska” po przedmowa jest wstępem dr Bohumila Vydry, kreślącym drogi rozwoju poezji czeskiej po śmierci Vrchlickiego. Trzy lata później ukazuje się „Gość w domu” Jerzego Wolкера w przekładzie Kazimierzy i Stanisława Albertich, ze wstępem o poezji Wolкера piera Stanisława Alberti, redaktora biblioteki słowiańskiej, w ramach której wydał cały szereg własnych przekładów z literatury czeskiej. W r. 1929 Szukiewicz wydaje „Pieśni niewolnika” Svatopluka Czecha, (egzemplarz z dedykacją dla Biblioteki Uniwersyteckiej znajduje się w B.U.W.). W dziesiątą rocznicę śmierci Jerzego Wolкера w r. 1934 ukazuje się w Pradze wybór wierszy tego poety w tłumaczeniu Adolfa Freli, w Polsce zaś niewielka monogra-

fia tegoż autora pt. „Żywot i dzieło Jerzego Wolкера”. Rok 1936 przynosi zbiorek „Z poezji Otokara Brzeziny” Antoniego Madeja. W latach trzydziestych znany poeta K. A. Jaworski zamieszcza w redagowanej przez siebie „Kamienie” szereg przekładów, a w r. 1938 wydaje „Wybór wierszy” Jana Smrka.

Naturalnie — większość stanowią przekłady utworów prozaicznych. Tu do najwcześniejszych należą tłumaczenia powieści Juliusza Zeyera, którego do Polski wprowadził Przesmycki-Miriam. Zanotować należy trzy po zycie tego autora: w r. 1927 ukazuje się jako tom 129 — 130 Biblioteki Dzieł Wyborowych historyczna powieść „Andrzej Czernyszew” w przekładzie Marii Bunikiewiczowej, następnie jako 7 tom Biblioteki Domu Polskiego „Dom pod tonącą gwiazdą” wraz z dołączonym opowiadaniem „Śmierć Ewy” w tłumaczeniu Stelli Olgierd (oba tomy poprzedzone są wstępami dr B. Vydry) oraz nowe wydanie „Trzech legend o krucyfikach” (tłum. Miriam) jako tomik pierwszy „Opowieści zwyciężonych” w warszawskim wydawnictwie B. Rudzkiego. „Legendy” — napisane w r. 1895 — na sześć lat przed śmiercią Zeyera — stanowią szczytowe osiągnięcie piarsarstwa autora „Legendy o św. Brandanie” z okresu poszukiwania Boga.

Z klasyków dużą poczytność zdobywa Alois Jirasek, autor wielkich powieści historycznych. Ciekawe jednak, że takie utwory jak „Mezi proudy”, „Husitsky kral”, „Temno” czy „Proti vszem” — nie znajdują uznania tłumaczy. Ukazują się „Maryla”, „Psiogłowcy” i „Skalakowie” — wszystkie w przekładzie Julii Dutkowskiej-Fischerowej, „Historia filozofów” (tłum. S. Alberti), wymienić też wypada opowiadanie „Na starej poczcie”.

Duże zasługi na polu przyswojenia wybitnych dzieł literatury i Republiki Czechosłowackiej położył Paweł Hulka-Laskowski. Po Czechu, Hermannie i innych — przełożył kapitalne „Przygodę dobrego wojaka Szwajkara” (Rój) oraz powieści „najwybitniejszego pisarza czeskiego XX wieku” (S. Nikolskij): trylogię „Hordubal”, „Meteor”, „Zwyczajne życie” i fantastyczną „Fabrykę absolutu”. Przełożono też na język polski powieść Ivana Olbrachta „Nikola Szuhaj — loupelznik”. Z recenzji zamieszczonej w pracy Wasilewskiego pt. „Poeci i teatr” dowiadujemy się, że jeden z teatrów warszawskich wystawił sztukę pisarza czeskiego Franciszka Langera pt. „Przedmieście”. Jeżeli weźmiemy pod uwagę specyficzne stosunki między naszymi państwami — a do wymienionych pozycji przekładów dodamy szereg prac naukowych (m. in. Magierę — „Historię literatury czeskiej i słowackiej”) — wypadnie stwierdzić, że zrobiono niemało.

Przedstawienie zainteresowania literaturą polską w Czechosłowacji w latach 1918 — 1938 napotyka na trudności przede wszystkim materiałowe. Brak czasopism, a także niewielka ilość egzemplarzy przekładów, które dotarły do Polski — uniemożliwia zestawienie nawet w przybliżeniu pełnej listy tłumaczy i przełożonych utworów. Na podstawie dostępnych źródeł zdołałem ustalić pewne fakty, pozwalające stwierdzić, że zainteresowanie literaturą polską, zapoczątkowane na nowo w okresie odrodzenia narodowego — chociaż znacznie osłabło — nie wygasło jednak zupełnie.

Najwybitniejszą rolę w zaznajamianiu czytelnika czeskiego odegrał niewątpliwie Adolf Czerny (pseud. Jan Rokyta) redaktor „Słowanskiego Przeglądu”, wielki przyjaciel Polski. Przełożył on utwory Słowackiego (Król-Duch), Wyspiańskiego, Żuławskiego, K. H. Rostworowskiego, Maciejewskiego, Kisielewskiego, Orzeszkowej, Perzyńskiego i Kiedrzyńskiego. Poetów polskich przekładał Jan Karnik.

Wydał on dwie antologie poezji polskiej: „Z polskiego Parnasu” (1930 r.) — wybór utworów patriotycznych i religijnych 30 poetów, oraz „Poesie swobodné Polsky” (1937, z interesującym wstępem o nieporozumieniach czesko-polskich), w której znalazły się utwory 22 poetów, m.in. Kaspro-wicza, Staffa, Rostworowskiego, Baka i Zegadłowicza. Karnik jest też autorem tomu „Pod peruti bilého orla”, zawierającego studia literackie, artykuły informacyjne i esyże o kulturze narodu polskiego. Obok Karnika i Czernego działa wielu innych tłumaczy: Benesz, Boročky, Masák, Dvorzacek, Gajdosz, Maria Calma oraz Jan Václav z Friebierka. Prócz ostatniego, który tłumaczył Rostworowskiego, Micińskiego, Przybrowskiego i Gębarskiego — pozostali zostają pod urokiem Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego i... Przy-



Praga — widok ogólny

byszewskiego. Maria Calma przekładała też powieści Dygasińskiego i Weysenhoffa.

Nie można pominąć działalności naukowej profesora literatur słowiańskich na uniwersytetach Bratysławy i Brna — Franka Wolimana, autora rozpraw o pisarzach polskich. Uczony ten wydał w r. 1926 pracę: „Żeromski a Rey mont”, a w rok później monografię „Juliusz Słowacki”.

W r. 1937 z inicjatywy prof. Szyj-kowskiego powstała „Knihowna polska” redagowana przez prof. Szyj-kowskiego, K. Krejczego i J. Bezeke. W teatrach czeskich dużą popularnością cieszyły się sztuki Gabrieli Zapolskiej.

Historyczne zwycięstwo Armii Radzieckiej nad faszystym niemieckim i powstanie w obu krajach: Polsce i Czechosłowacji rządów ludowo-demokratycznych rozpoczęło nową erę w stosunkach kulturalnych polsko-czechosłowackich.

„Obecnie — pisze K. Krejczy — stosunki wzajemne nie ograniczają się jedynie do przekładów, organizowane są zjazdy, bezpośrednie kontakty pisarzy czeskich, słowackich i polskich, a celem ich nie jest formalna uprzejmość, lecz dążenie do głębszego poznania życia słowiańskich sąsiadów”.

Można by dodać: urządzone są festiwale filmów, wystawy malarstwa i grafiki, wieczory poświęcone twórczości wielkich pisarzy, dyskusje i akademie.

Omówienie, nawet pobieżne, wszystkich form współpracy kulturalnej polsko-czeskiej przekracza znacznie ramy jednego artykułu. Zajmiemy się więc tylko przekładami.

Dorobek 8 lat powojennych w tym zakresie przewyższa znacznie, ilościowo i jakościowo, to, co zrobiono w dwudziestolecie. Na półkach księgarskich znajdziemy blisko sto tomów przekładów z literatury czeskiej i słowackiej. Niektóre z nich doczekały się, jak np. „Anna proletariuszka” — pięciu czy sześciu wydań, większość dwóch lub trzech. Tak więc z klasyków: Bożena Nemcova — reprezentuje dwie pozycje: w r. 1951 ukazała się „Babunia” (przekład P. Hulki-Laskowskiego) i „Wybór obrazków i opowiadań” (1952, II wydanie 1953) w tłumaczeniu J. Magnuszewskiego; Zdzisław Hierowski przełożył historyczną powieść „Dzwoneczkowa królewna” Karoliny Swietlej, Maria Erhardtowa dwa tomy opowiadań Jana Nerudy — świetne „Malostansko povidku” jako „Opowiadania ze starej Pragi” (PIW 1949) oraz „Wybór opowiadań” (Czytelnik 1952 ze wstępem Andrzeja Sieczkowskiego). Jirasek i Czapek doczekali się imponującej ilości przekładów: wznowiono przedwojenne przekłady Julii Dutkowskiej-Fischerowej („Maryla”, „Psiogłowcy”, „Skalakowie” — Jiraska) oraz Hulki-Laskowskiego („Hordubal”, „Meteor”, „Zwyczajne życie” i

„Fabryka absolutu” — Czapka), Niana Zalewska przetłumaczyła „Na starej poczcie” i „Studenckie dzieje z dawnych lat”, Zdzisław Hierowski „Uroki świata” (2 wydania) a ostatnio „Mroki” (Jirasek), nowymi pozycjami Czapka podzieliły się trzy tłumaczki: Maria Erhardtowa: „Humoreski”, Helena Gruszczyńska-Dubowa: „Księga Apokryfów”, Jadwiga Bułakowska: „Inwazja jaszczurów” i „Daszénka” (2 wydania). „Opowieść o dobrym listonoszu” tegoż autora przetłumaczyła znana pisarka Maria Kann.

„Szczurołapa” — Wiktora Dyka pięknie przełożył K. A. Jaworski. Listę klasyków zamyka „Wyprawa pana Broučka w XV stulecie” SV. Czecha (tłum. M. Erhardtowa).

Z pisarzy współczesnych tłumaczono Pujmanową, wybitnego pisarza katolickiego K. Schulca, Olbrachta, Zapolskiego, Marka, Majerową, Rzezcza i innych.

Kilka słów warto poświęcić utworom pisarzy i poetów polskich o tematyce czeskiej. K. I. Gałczyński, ba więc na zaproszenie Związku Pisarzy Czechosłowackich w Pradze, zachwycony pięknem starej Pragi napisał dwa wiersze o architekturze „Złotej Pragi”. Są to: „Na Karlovym moście” i „Portal domu «Pod dwoma złotymi niedźwiadkami»”. Ostatnio, po powrocie z Pragi, Wanda Karczewska opublikowała utwory pisane pod wrażeniem bezpośredniego zeknięcia się z krajem Puczka.

W Czechosłowacji ożywienie na polu przekładów z literatury polskiej datuje się z okresu okupacji.

„Jest rzeczą zrozumiałą — pisze Krejczy — że w warunkach utraty niepodległości narodowej tłumacze czescy zwracali się przede wszystkim do tych utworów, które najsilniej wyrażały patriotyczną walkę narodu polskiego z zaborcami w okresie porzobiorowym, a zwłaszcza do twórczości Adama Mickiewicza”.

Podczas okupacji Franciszek Hałas przełożył „Dziady”, „Komrada Wallenroda” i „Grażynę” oraz dramaty Słowackiego „Balladynę” i „Lillę Wenedę”. Tłumaczenia te ukazały się zaraz po wyzwoleniu Czechosłowacji. Z klasyków wydano Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową, Orkana i Kraszewskiego. Zrozumiałe zainteresowanie i od razu uznanie czytelnika zdobył Lucjan Rudnicki, Wilczek, Scibor-Rylski i Nowerly.

Poezję polską tłumaczy przede wszystkim Jan Pilarz. Opublikował on wybór poezji polskiej z lat 1938 — 1945, Broniewskiego „Komunę Paryską”, wiersze Tuwima, a ostatnio współpracował przy opracowaniu nowej antologii współczesnej poezji polskiej. Duże zasługi mają tu też J. Závada i E. Sojka.

Teatry czeskie interesują się polską twórczością dramatyczną. W teatrach czeskich wystawiono sztuki Fredry, Słowackiego i Zapolskiej, ze współczesnych: Kruczkowskiego, Morstina i Swirszczyńskiej.

Wyrównujemy rachunek dwudziestolecia. Fakty świadczą,



Zielona kopuła oraz wieża kościoła św. Mikołaja — nawiązywanie do architektury praskiego baroku

(Na marginesie lektury „Pieśni pokoju” w przekładzie K. A. Jaworskiego)

Wybitny poeta czeski, S.K. Neumann, twórca poezji proletariackiej, ideologiczny opiekun Jerzego Wolкера, obdarzony przez rząd wczoraj Czechosłowacji zaszczytnym mianem „narodowego artysty”, w przedmowie do nowego wydania „Wspomnień” pisał:

„Ci, którzy po dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu latach nie zmieniają swych poglądów, choćby wszystko wokół zmieniło się, są, zapewne, ludźmi szczęśliwymi, ja jednak nie zazdroścę im i nie chciałbym się z nimi zamienić”.

Słowa te, odnoszące się do własnej twórczości autora „Czerwonych pieśni” — doskonale tłumaczą drogę artystycznego rozwoju Neumanna od skrajnego dekadyzmu (współpraca z „Moderni Revue” „Prochazki”) do poezji par excellence tendencyjnej, socjalistycznej — wówczas, gdy w całej Europie, naturalnie z wyjątkiem Związku Radzieckiego, rozwijały się i kwitły ekstremistyczne kierunki literackie i ruchy artystyczne, które były, używając słów Jara Kotta „...wyrazem powszechnej niewiary intelektualistów i mieszczaństwa (...), w moją ność, sens i pożytek racjonalnego poznania i kształtowania życia społecznego”.

Słowa Neumanna są również, jak wydatnie się piszącemu te prace, niezbędne, jeżeli chcemy — nie krzywdząc Nezvala posiadaniem o oportunizm czy inne również niskie pobudki — prześledzić kolejne etapy twórczości tego błyskotliwego poety i tłumacza progresywnym rozwojem poglądów zbliżoną i ucieczką od rozmaitych „izmów”, zrozumieć ostateczne zerwanie z antyrealistycznymi prądami, w sztuce, które nastąpiło w latach bezpośrednio poprzedzających ostatnią wojnę światową i włączenie się w nurt poezji naszego czasu, wyrażającej dążenia narodu, zmierzającego do socjalizmu.

Wpływ literatury francuskiej na literaturę czeską — mający daleko sięgające wstecz tradycje — bardzo silnie zaznaczył się w XX wieku. W pierwszej fazie mamy od działywanie naturalizmu i symbolizmu (do I wojny światowej), w następnej zaś miednych i atrakcyjnych wpływów nowych szkół poetyckich. Zapoznanie się z twórczością „młodych” (nazwa naturalnie uogólniająca i konwencjonalna) odbywało się drogą normalnej filtracji — sporadyczne tłumaczenia i artykuły krytyczne — później podróżujący po Europie ambasador czeskości Karol Czapek przywiózł z Francji poezje Apollinaire’a i wydał jego „Pismo” w swoim przekładzie w r. 1919, a rok potem antologię współczesnych poetów francuskich (II wydanie 1936). Pierwsze łody zostały przełamane. Obie książki przyjęte były entuzjastycznie — cierpiąca na anemie literatura czeska otrzymała potężny zastrzyk nowości, który leczyć te dolegliwości — doprowadził do innej. Jakiej — postaram się wyjaśnić poniżej na przykładzie twórczości Nezvala, szukającego „klucza do studni przepaści”.

Wielka Rewolucja Październikowa, której międzynarodowe znaczenie niejednokrotnie podkreślał w swych dziełach Stalin — znalazła znaczny oddźwięk w literaturze czeskiej. Pierwszym, na gruncie czeskim, który ją zrozumiał i poetycko na nią zareagował, był S.K. Neumann. Później swój hymn pochwalny na cześć Rewolucji wyśpiewał: Wolker, Seifert, Biehl.

Lata bezpośrednio po rewolucji następujące były dla poezji czeskiej okresem wielkiej katharsis, wielkiego oczyszczenia. Niestety nie trwały długo. Grudzień 1920 roku przyniósł klęskę klasy robotniczej. Tym razem zwycięstwo przypadło w udziale panom z towarzystw bankowych.

„Pierwszy krok w stronę Monachium został uczyniony — pisze w swej normatywnej pracy o poezji czeskiej Ludwik Sztoll — skutki tego objawiły się nie tylko w życiu państwowym i politycznym, ale również w sferze kultury i poezji. Rewolucyjna fala opada, kora fabryczna nabiera rozpędu, nadechcąca nowa cykliczna fala koniunktury ekonomicznej, a z nią powracają wszystkie stare złudzenia drobno-mieszczańskich ideałów, reformistycznej iluzji. (...) Związek Radziecki nie istnieje”.

W sytuacji tej łatwo dochodzą do głosu wpływy zachodnie: włoski futurizm, francuski nadrealizm; błędne koło kosmopolityzmu zabarwionego szowinistycznym nacjonalizmem.

Poeci zawiedzeni w swych nadziejach na rewolucyjną przemianę panujących stosunków wykreślają postępowe wiersze swych pierwszych zbiorów. Odzwierają zmodernizowane programy z końca wieku, powra-

ca fala niewiary i pesymizmu. Grupa Neumann — Nejedly — Wolker pozostaje osamotniona.

Praga coraz bardziej upodabnia się do Paryża, gdy przyjeżdża tu z rodzinnymi Biskupowic dwudziesto-kilkuletni Vitiezlav Nezval, autor wydanego w r. 1922 tomiku „Most”, debiutu zdradzającego wielki talent. Wśród wierszy tego zbioru przeważają utwory o charakterze wspomnieniowym, jakby nie wypracowane, naszkicowane tylko lekkimi liniami, pełne ludowej fantazji i wyobraźni. Brak tu silnej więzi, łączącej poszczególne obrazy i odczute wzruszenia, wrażenia nie są uszeregowane, widzę niepełne — wyraźne jednak widac dbałość o język poetycki, który mieni się wszystkimi odcieniami barw, podkreśla subtelnością kolorów i zapachów; zastanawia też wielki, jak na młodego poety, kunszt literacki, odkrywcze rymy i asonanse, uwypuklające pod stawowe cząstki językowego strumienia rytmicznego o rozmaitym schemacie oraz ciekawa struktura zwrotkowa (patrz: Czeska pieśń).

Jerzy Taufer w artykule „O niektórych podstawowych cechach poezji Nezvala” zwraca uwagę na niezwykły w takich warunkach realizm obrazów i ich naturalną ludowość, którą dostrzec można w wierszach Nezvala począwszy od pierwszego tomiku — poprzez poetyckie i nadrealistyczne — aż do „Stalina”, „Pieśni Pokoju” i „Skrzydła” i ostatniego zbioru jego wierszy, w którym zawarte są wiersze z lat 1949 — 1952, będące „...śpiewem o szczęściu życia w naszej wielkiej epoce”.

Nezval, mimo zrozumienia istoty i sensu Rewolucji Październikowej, mimo dyskusji o perspektywach rozwoju literatury w ramach ustroju socjalistycznego, które prowadził z

Andrzej PIOTROWSKI

poetą i powieściopisarzem J. V. Plewą (informuje nas o tym ten ostatni w artykule jubileuszowym „Zrnka o Nezvalovi”) — nie zdecydował się na wyraźne opowiedzenie się po stronie poezji proletariackiej, która jak pisze Kunc — „była mu w tym okresie zupełnie obca”.

Słowa Sztolla pełne ubolewania nad tym, że Nezval wkrótce po przyjeździe do Pragi „wpadł w ręce K. Teige’a” wydają mi się krzywdzące dla autora „Matki Nadziei”, trudno bowiem wyobrazić sobie Nezvala jako zblakane na praskim bruku maleństwo, nie wiedzące, co począć, a Teige’a jako złego ducha, który wsuwa mu w rączkę manifest poetyckich. Ta metoda przedstawiania zagadnień nie wydaje mi się słuszną, i bardziej przekonującymi argumentami operuje Jerzy Taufer w cytowanym wyżej artykule twierdząc, że uleganie wpływom importowanego nadrealizmu wpływało ze sprzecznością pomiędzy materialistycznym pojmowaniem rzeczywistości (gdź już wówczas Nezval poznał dokładnie marksizm) a idealistyczną, teoretyczną koncepcją sztuki.

Stwierdziłem, że już w pierwszym tomiku dostrzec można pewne przetrwały formalistyczne, które w następnych zbiorach, gdy Nezval ogłosił manifest poetycki a później przemianuje go na surrealizm, dojdą prawie wyłącznie do głosu. Konstrukcja myślowo-treściowa utworów odsunęła się niejako na plan dal-

szy — bezpośrednio do odbiorcy przez mawiac będą czynniki, wynikające nie tyle z intelektu autora, ile z mistrzostwa jego warsztatu; lecz nawet wówczas nie można mówić o kunszcie dla kunsztu, mając na uwadze to, co powiedział o poezji Nezvala Taufer.

Nezval pisze dużo. W niewielkich odstępach czasu wydaje: „Pantomima” (1924), „Abeceda”, „Basnie na pohlednice”, „Diabolo”, „Mensz ružova zahrada” (wszystkie 1926 r.), „Akrobat”, „Blizen”, „Dobrodružství noci a vejřze”, „Napsy na hrobby” (wszystkie 1927). W zbiorach tych Nezval przedstawia się nam jako „podziwu godny czarodziej” (jak nazywa go Maria Pujmanova w liście jubileuszowym), „zongler, który nie lęka się eksperymentować, chce zaskoczyć czytelnika paradoksalnym zestawieniem obrazów, niespodziewanym rytmem i rytmem, zaskokową bogactwem wrażeń i rozmaitością odczuć, nawet za cenę poprawności kompozycji, logicznego związku etc. W rok później ukazuje się nowy utwór Nezvala. Jest nim „Edison” — poemat epicki, „hymn o człowieku, który przez całe swe życie dawał ludzkości dary”.

Pochwała rozumu, geniusza ludzkiego, który odkrywa coraz to nowe fantastyczne światy. W utworze tym po raz pierwszy skupiły się wszystkie dobre strony talentu Nezvala. W okresie tym jest Nezval jednym z najbardziej popularnych poetów w kraju, naturalnie w pewnych tylko

kręgach społeczeństwa. Do dobrego tonu należało znać, a przede wszystkim udawać, że się rozumie i chwalić poezję typu nezvalowskiego. Ten pewnego rodzaju snobizm staje się modą i modelem, jest składową treścią mentalności mieszczańskiej. Ciekawym przyczynkiem do poznania środowiska, z którego rekrutowały się czytelnicy poezji nadrealistycznej, jest wierszyk Józefa Hory, od zacytowania którego *in extenso* nie mogłem się powstrzymać. Oto on:

Model 1932

*Když vesna, květy zaslala
a luczin vuni horskou
chvalila dívka Nezvala
a četla Krasnohorskou.*

*Jak je to krasnie, mladym byt
i po modie se strojít
Mit pro freudismus živý oit
a nad Halkem jej skojit.*

*Gdy wiosną zakwitły kwiaty
i pachniały górskie łąki,
chwała dziewczę Nezvala,
czytając Krasnohorską!*

*Jakże to pięknie być młodym
i modnie się ubierać
i rozumienie freudyzmu
czytając Halka przeżywać!*

W latach następnych Nezval, tak jak i poprzednio, pracuje dużo. Owocem tej pracy są liczne tomiki wiers-

Jerzy WOLKER

W i e r s z e

PASTEL IRONICZNY

I wszędzie złoto: na niebie, na polach,
i tam, na górach, i tu, na topolach,
i w słodkich mgłach, co w dali się zwieszają,
i w cieniach, które w światło się wplatają,
ach, wszędzie złoto — chłodne złoto wszędzie.



A drogą krętą na wzgórze krawędzi
w srebrze pajęczyn i w złocie jesieni,
w ostatniej krasie, którą świat się mieni,
i wprost ku słońcu, lśniącemu w lazurze
wleczę się żebrak w podartym kapтурze.

STROFY

Śnieg pada na miasto, na miasto zszarzałe,
w tych oczach w kałużę roztapia się białe,

a z wieży jak w wodę zrzucone dziewczyny
na topiel kamienną spadają godziny.

Z początku sam idziesz z samotną swą dolą
i myślisz, że świata cierpienia cię bolą,

tymczasem to tylko ty jesteś — jednostka,
twój ból osobisty i własna twa troska.

Na stację idź, wsłuchaj się w gwizd lokomotywy
co wiozą w świat i złość i tęsknoty,

i z miasta boleści ich siła pędziona
we wszystkie najdalsze na świecie jedź strony.

tam, gdzie holaczek twych ludzie nie znają
bo sami się z losem najcięższym zmagają.

Tyś większy niż serce, więc przemóż je meżny,
byś nie był rażony swym własnym orężem,

i przemóż swe rany, nie tkaj ich naboem,
byś w walce był zawsze, a nigdy po walce.

I wtedy na miasto padając zszarzałe
śnieg czoło owinie bandażem ci białym

i z wieży godziny wylecą z ptakami.
Ból przemóc — to więcej, niż cierpieć ze ł

SLEPI MUZYKANCY

Dwaj ślepi muzykanci
chodzili po ziemi,
jeden z nich szedł z harmonią,
drugi z skrzypkami swemi.

Na bruku miejskich podwórzcy,
przy płocie wioski
dwaj chudzi ludzie grali
wesołe piosnki.

Okna się otwierały,
ludzie słuchali z boku,
świat cały tak wypiękniał,
że nie starczyło wzroku.

I gdy tak ślepcy grali
piosenki swoje skoczne,
ludziom wciąż wyrastały
nowe i nowe oczy.

Im piękniej ślepcy grali,
tym więcej oczu rosło,
tak by z owego piękna
nic na marne nie poszło.



Harmonia ze skrzypkami,
dwóch ślepych żebraków,
sto oczu ludziom wygrali,
dostali po grosiku.

DO SZCZĘŚLIWEJ DZIEWCZYNY

Oczy twoje, dziewczyno, są jak wieś w niedzielę,
jak plac radosny na wsi i droga wesoła,
i serce dla mnie bije w twoim białym ciele,
jak dzwony rozdzwonione biją z wież kościoła.

Vitezslava Nezvala

szę, które jednak będąc w zasadzie kontynuacją dotychczasowej linii poetyckiej interesować nas nie będą. Ciekawa natomiast jest walka o Nezvala, którą toczy lewe skrzydło czeskiej inteligencji. Zwycięstwo odnieśli prawdziwi przyjaciele Nezvala. W rezultacie: Nezval odszedł od surrealizmu. „*Ulice Gít le Coeur*“ (1936) jest jego ostatnim utworem teoretycznym o nadrealizmie.

Kolejne tomy świadczą o progresywnym pozbywaniu się formalistycznej nadbudowy poetyckiej, o przechodzeniu do zagadnień bliższych przeciętnemu czytelnikowi. W kręgu zainteresowania poety znajdują się teraz sprawy codzienne, smutek z powodu choroby matki (*Matka Na dieje* 1938) i polityczne — ciemne lata Protektoratu, na które reaguje „*Historickým obrazem*“ (1939) i tonem „*Přet mímst za mímst*“ (1940). Egzotyka i mallarmowski brak interpunkcji idzie w zapomnienie, zbyt silnie bowiem przemawia tragiczna sytuacja narodu czeskiego i boli jego wewnętrzny dramat. I chociaż nigdy sprawa ludu nie była obca Nezvalowi, chociaż zawsze stał po stronie postępu i Komunistycznej Partii Czechosłowacji, dopiero procesy moskiewskie i zdrada zachodnio-europejskich demokracji burżuazyjnych, która doprowadziła do smutnych dni Monachium, uczyniły z Nezvala poe'tę narodowego i ludowego. Tu też należy szukać źródeł zarówno wspaniałego „*Stalina*“, jak i „*Pieśni pokoju*“ — poematu na-

grozzonego czechosłowacką Nagrodą Pokoju; (n.b. nie była to pierwsza nagroda, jaką otrzymał Nezval: już w roku 1934 wyróżniony został Nezval państwową nagrodą za to mik „*Sbohem a szateczek*“).

U schyłku roku 1950 na zebraniu robotników-literatów w Dobrzyszu Nezval po raz pierwszy odczytał zebrany nie publikowany dotąd poemat, który spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem. Długotrwałe oklaski świadczyły o zrozumieniu intencji autora i pełnej aprobacie ich słownej i artystycznej realizacji. Utwór ten — to „*Zpíev míru*“ (1950), którego polski przekład pióra K.A. Jaworskiego pt. „*Pieśń pokoju*“ (1950) niedawno ukazał się na półkach księgarskich, co powitać należy z tym większą radością, gdyż — pośród kilkudziesięciu tomów przekładów z literatury czeskiej i słowackiej — jest to pierwszy utwór poetycki, udostępniony polskiemu czytelnikowi, nie licząc drukowanych sporadycznie w prasie literackiej tłumaczeń i ostatniej nowości: „*Wyboru wierszy poetów czeskich i słowackich — Nadzieja*“.

Walka o pokój — najważniejszy niewątpliwie problem teraźniejszości — znajduje niezwykle żywe odbicie w literaturze. Wertując poprawne roczniki pism literackich z ostatnich kilku lat bardzo często spotykamy wiersze, nowele, fragmenty powieści i sztuk o tematyce pokojowej. Każda literatura współczesna może po-

szczycić się wieloma tomiami utworów poświęconych temu zagadnieniu. Ze zjawiskiem tym spotykamy się też w literaturze czeskiej i słowackiej. Rok 1950 — rok amerykańskiej agresji w Korei — przyniósł utwór najwybitniejszego poety średniego pokolenia Vitezslava Nezvala — poemat pt. „*Zpíev míru*“, którego tytuł mówi o problemach w nim poruszanych.

W porównaniu z dawniejszymi utworami, a nawet o rok tylko starszym „*Stalinem*“ — poemat ten odznacza się niezwykle prostotą wyrazu artystycznego, gdzieś tam tylko natknijemy się na bardziej misterne przenośnie, przypominające o dłużej i praktyce poety w szkole surrealistycznej. Prostota w pełni harmonizuje z charakterem utworu poematu — programu, poematu — wezwania do walki z tymi siłami, które chcą zamienić świat w pustą, bezładną przestrzeń.

Doskonale są zwrotki, w których Nezval w celnym poetyckim skrócie ukazuje piękno średniowiecznej Pragi, jej historię, jej walkę zakończoną zwycięskim wprowadzeniem na Hradczany pierwszego prezydenta — kandydata całego narodu, długoletniego kierownika Czeskiej Partii Komunistycznej w najtrudniejszych latach nielegalności — Klementa Gottwalda.

Umiejętnie posługując się kontrastem zestawia autor jasne obrazy życia w naszym ustroju z tragiczną

egzystencją ludu hiszpańskiego i greckiego. Wspaniałe są wiersze poświęcone Stalinowi i roli, jaką odegrał w historii ostatniej wojny, bez którego ostałaby się z Pragi:

„*Jen historická rozvalína pod víencem Libuszinych kvízd... byloby stosem díz rozvalín pod víencem Libuszinych kvízd.*“

Karty poematu przesycone są głębią bokin, ludowym optymizmem, wiarą w zwycięstwo sił postępu, która przemawia do nas z każdego pięciowiersza. W pięknych strofach pisze Nezval o narodzie rosyjskim, który widzi dalej: „...niż wędrcy przez teleskop wieków...“, który zmienia bieg rzeki, nieurodzajne pustynie w kwitnące ogrody, który poznał przyrodę i przekształca ją. Odpowiedzialność za losy kultury dyktuje Nezvalowi wzruszające słowa o obrazie Rembrandta, zawieszonym na ścianie ręką samego artysty, którego zniszczenie będzie zbrodnią równą zamordowaniu bezbronnej kobiety. Nienawiść i miłość — to dwa zasadnicze tony poematu.

Ogólnie: poemat silny, wzruszający, męski — choć nie brak pewnych nużeńców dłużyń: mam tu na myśli monotonne wyliczanie zawodów ludzi wzywanych do walki o pokój, rażące gramatycznymi rymami, dalej pewne przejaskrawienia (fragment o lotnikach amerykańskich) i nieliczne na szczęście fragmenty dziwne nie przekonujące, bo rozlało — sentymentalne (o piosenkarkach Wiednia i londyńskich kochankach). Mimo te braki poemat bezsprzecznie wartościowy, co zapewniając mu wzruszenie odbiorcy przyczynia się do mobilizacji walczących sił.

Dokładna analiza przekładu, dokonana przez znanego poe'tę i tłu-

macza Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, wymagałaby osobnego studium, które podkreśliłoby dobre i złe strony przekładu, dlatego też ograniczę się jedynie do wskazania „*blasków i nędz*“ pracy „*rywala autora*“ na przykładzie kilku pierwszych zwrotek, naturalnie, po paru uwagach wstępnych.

Inna struktura języków wymaga nie byle jakiego kunsztu od tłumacza, chcącego w tym samym metrum ukazać oryginał czeski na gruncie języka polskiego. Język czeski, mimo wielu podobieństw leksykalnych, przedstawia zupełnie inne zjawisko niż język polski — ze względu czy to na akcent inicjalny, czy też iloczas. Sądzę, że z tego właśnie powodu dobrze się stało, że pragnąc nad przyswojeniem poematu Nezvala polskiemu czytelnikowi powierzone doświadczoneму tłumaczowi, który niejednokrotnie dał się poznać jako dobry tłumacz prozy i poezji czeskiej.

Przekład Jaworskiego odznacza się wiernością wobec oryginału, płynnością, elegancją; można wskazać wiele fragmentów, w których, zastępując określenia nie mówiące czytelnikowi nie znającemu bliżej ojczyzny Nezvala, innymi, uogólniającymi — tłumacz pozwala nam na pełniejsze zrozumienie treści zawartej. W odpowiednich wierszach. Spostrzeżemy też ogrom pracy, jaką zadał sobie Jaworski nie chcąc uронić niczego z melodyjności wiersza czeskiego, dbałość o rymy i rytm.

Nie ustrzegł się jednak tłumacz kilku błędów, polegających bądź to na zatarciu pewnych cech oryginału, bądź też pozbawieniu go pewnych typowych przerośni. Tak też wiersz pierwszej zwrotki: „*v ne venicze a kdekoli*“ — zza które go widać wyraźnie rodzinne Biskupowice Nezvala — zastąpił tłumacz uogólnieniem: „*gdziekolwiek prąd jej będzie bił*“ — w tym wypadku nietwórczym, bo usuwającym w cień autora poematu. W trzeciej i piątej zwrotce zastąpił Jaworski oryginalne: „*Oblohy — straszlive jak bez nohy*“ oraz „*nezařbil peklu jak vraada na žen*“ — zwrotami banalnymi i dalekimi od błyskotliwości. Nie uniknął też pewnych lat. wizm. Nie można darować Jaworskiemu, doskonałemu tłumaczowi Je siemina — zwrotki dziesiątej, będącej typowym przykładem złego odwołania oryginału. Nie wiemy, skąd zamiast pełnego czaru obrazka umiejscowionego nad źródłem — znajdujemy w przekładzie przyzby chaty, dalej ciągnięta za uszy izbę etc, tym bardziej, że dwie linie przetłumaczone są niezłe.

Wybranie tego fragmentu może wydawać się złośliwością. Tak nie jest. Chciałbym pokazać, że nawet dobry tłumacz, przy pracy nad dłuższym przekładem, „*puści*“ klopską zwrotkę jak np. powyższą, na szczęście odosobnioną i ginącą wśród wielu naprawdę dobrych.

Na zakończenie podziękować należy wydawnictwu „*Książka i Wiedza*“, które wydało przekład nieznanego u nas z twórczości powojennej poety, wyróżnionego ostatnio złotym medalem przez Komitet Nagród Międzynarodowych w uznaniu zasług, które położył w dziele umocnienia pokoju między narodami, o którym Erenburg napisał: „*Jedno jest pewna rzecz: Nezval to prawdziwy poeta*“.

Andrzej Piotrowski

przekł. Kazimierz Andrzej JAWORSKI

l i r y c z n e

Słyszę radość tej drogi, słyszę dzwon z tej wieży,
gdy jak lalki do piersi tulisz ręce moje.
Głos twój jest tak szczęśliwy, że aż lęk mnie bierze
gdy myślę o miłości, co nas wkrótce spoi.



Bo miłość to coś więcej niż lalki, dziewczyno,
dwa serca nihy iskrę wykrzeszą świat nowy.
Tyś jest biegun gwiazd ciepłych, które w niebie płyną,
ja muszę być biegunem ziemskim i lodowym.

A przeto, moja miła, żelaznym ramieniem
słumić muszę twych oczu wiośnianą niedzielę,
by w głębię ich zanurzyć różaniec kamienny,
różaniec boleściwy dni powszednich wielu.

I nędzą tą palącą, której jeszcze nie znasz,
zranic serce twe czułe, gdy się o niej dowię.
W hój leć. miłości, która przelewasz się przez nas!
O szczęście świata walczyć idą kochankowie.

MORZE

(fragment)

Na brzegu wyspy Krak, na brzegu jej kamiennym
szczęść dni szukałem morza wzrokiem smutku pełnym
i morza nie znalazłem, bowiem świat wstydlivy
przed ręką wypieszczoną kryje swoje dziwy
wśród kulis kolorowych, w trumnie malowanej,
by je nagle odsłonić nieoczekiwanie.
Dnia siódmego, gdy dzwon się nad miastem rozdzwonił,
ja — pijak z oczu własnych wyrwałem się toni,
już nie gość na lotnisku, jak robotnik w święto
po mieście się włóczyłem z twarzą uśmiechniętą.
I dlatego wieczorem w gospodzie wesołej
urząłem wreszcie morze prawdziwe dokoła,
gdy przy stole dębowym patrzyłem na twarze
wasze, starzy rybacy, dzielni marynarze,
bracia pieści śękatych, co w martwym trykocie
niesiecie grom i słońce, bogactw ziemi krocie.

wasze, o robotnicy z skórą opaloną,
co morze tu tworzycie, sami z jego łona.
O graj mi, arystonie, najmilejszy ptaku,
tu tańczy wszystko morze, z pięciu części świata
i serce bije mi, bom wszystkich kochać moeen,
porastam odciskami jak drzewo owocem,
jestem marynarz, rybak i robotnik,
statkiem morze przepływam z nimi tysiąckrotnie,
tysiącem rąk, nie jedną, wśród mórz się panuje,
tysiącem rąk, nie jedną, morze się buduje.
O graj mi, arystonie, ptaku słodkiej chwili,
światem są tylko ci, co żywią go, by żyli.
Morze — to my, robotnicy obcy i tutejsi,
jedynie rzeczywisci i najistotniejsi!

ŚWIATŁO PADA NA ŁÓŻKO SZPITALNE

Światło pada na łóżko szpitalne
i alarm jego słyszę wciąż spoza bandaży,
w hój idą towarzysze, w hój o sprawiedliwość,
w hój idą towarzysze, idą wszyscy razem.

Światło pada na łóżko szpitalne,
lecz śmierci dech z ciemnego na nie kąta płynie.



Dlaczego iść nie mogę z wami, towarzysze?
Dlaczego umrzeć mam, gdy w boju chciałbym zginąć?

NOTA

JERZY WOLKER (1900—1924). Jeden z największych poetów czeskich dwudziestego wieku, twórca poezji proletariackiej, ulubiony autor robotników i młodzieży, którego utwory recytowane są na wieczorach robotniczych. Pisarz o wysokiej postawie etycznej płynącej ze źródła chrześcijańskiego i socjalistycznego. Cechuje go nęzielną wrażliwość na nędzę ludzka i cierpienie człowieka, umiłowanie ziemi, natury nawet martwych przedmiotów. Towarzyszy temu wiara w nadejście nowej sprawiedliwej epoki. O to lepsze jutro ludzkości walczy w swych wierszach. Zmarł przedwcześnie na gruźlicę.
Poezje: „*Gość w domu*“ (1921), „*Ciełka godzina*“ (1923). Dramaty: „*Trzy sztuki*“ (1924). Po śmierci poety wydano „*Opowiadania i baśnie*“ (1925) Trzytomowa dykcja wszystkich dzieł jego (Dile J. Wolker) doczekała się licznych wyda-

rys. A. i G. Reehowiczowie

PRZYPISKI

- 1) Stanislav K. Neumann — „*Vzpomínky*“; — Svoboda 1948. Spisy X Cyt. str. 7.
- 2) Jan Kott — *Mitologie i realizm* — *Czytelnik* 1946. Cyt. str. 80.
- 3) Ladislav Stoll — „*Tricet let boju za ceskou socialistickou poesii*“ — *Orbis* — Praha 1950.
- 4) Jaroslav Kunc — „*Slovník soudobých českých spisovatelů*“ — *Orbis* — Praha 1946 t. II Cyt. str. 584.
- 5) op. cit. str. 586.
- 6) „*Moderní česká poesie*“, *Státní nakladatelství v Praze*, 1946.
- 7) *Przeciwwstawienie oryginalności wyrazu artystycznego surrealisty Nezvala tradycyjonalizmowi* Elízki Krasnohorskiej (1847—1926). M.in. przetłóżyła na język czeski „*Pana Tadeusza*“.
- 8) Jak wyżej. Hallek (1835—1874) m.in. autor sentymentalnych „*Pieśni wieczornych*“, wiersz cytowany w przekładzie dosłownym (A.P.).
- 9) Vitezslav Nezval — *Zpíev míru* — *Orbis* — Praha, 1950. str. 35 + 5 nb.
- 10) Vitezslav Nezval — „*Pieśń pokoju*“, *Książka i Wiedza*, Warszawa 1952, przetłóżył Kazimierz Andrzej Jaworski, str. 22 + 2 nb.
- 11) Przekład dosłowny — „*...w wiosce mojej i gdziekolwiek...*“
- 12) „*Oblohy — straszlive jak beznohy*“ — przekład dosłowny: „*firmament straszliwy jak kaleka*“. U Jaworskiego opis bez powtórzenia podmiotu: „*...aby błękitny nieba stóp (...) gdy runie straszny ognia snop*“, Nezval: „*Nezařbil peklu jak vraada na žen*“ — przekład dosłowny: „*...Nie podobał piękto jak morderstwo spełnione na kobiecie*“, U Jaworskiego: „*Na śmiech szatanom, co radzi zawsze każdej zbrodni*“.
- 13) Wszystkie cytaty z języka czeskiego w częściowej transkrypcji.

Juliusz NOWAK DŁUŻEWSKI

ANTYTRYNITARZE POLSCY

ODKRYCIA
ANTYTRYNITARSKICH
ŹRÓDEŁ

KIEDY Aleksander Brückner przeprowadzał na wielką skalę rehabilitację polskiego literackiego siedemnastowiecznia, gruntownie sponsonowanego w opinii społeczeństwa trzech epok kulturalnych: racjonalizmu, romantyzmu i pozytywizmu, jako jałowy okres panegryficznie-makaroniczny, okres zastój umysłowy i marazmu moralnego — nie miał jeszcze do dyspozycji w swoich obrończych wywodach najważniejsze argumenty z dziejów religijnych naszego narodu w wieku siedemnastym. Szermował z powodzeniem argumentem rodności Potockich i Pasków, oryginalnością twórczości literackiej baroku; nie miał jednak w ręku najważniejszego dowodu na bujność umysłowego życia, pulsującego u nas w środowisku antytrynitar-skim w okresie powszechnego „zdzi-czenia“ umysłowego reszty Polski. Nie miał tego argumentu, ponieważ polskie badania nad dziejami reformacji w Polsce zaczęły się na dobre dopiero po pierwszej wojnie światowej. Przedtem mieliśmy tylko pojedyncze opracowania historii reformacji polskiej, bardzo jeszcze niedostateczne, jak Waleriana Kraszińskiego, Stan. Zakrzewskiego i ks. J. Bukowskiego. Zjawiały się sporadycznie cenne prace, jak samego Brücknera „Różnowiercy polscy“, ks. Warmińskiego „Andrzej Samuel i J. Sekul-cjan“, źródłowe szkice Merczynga, pracowite syntezy dziejów literatury różnowierczych Tad. Grabowskiego.

Poważniej pracowała zagranica. Powstały źródłowe opracowania dziejów polskiej reformacji Rosjanina, Mikołaja Lubowicza („Historia re-formacji w Polsce“, „Nacząto kato-liczeskiej reakcji w Polsce“, „Lub-linskije wolnodumcy. Antitrinitarij i annabaptisty“), prace niemieckie Teod. Wotschego, Eichhorna) o Hozjuszu i Kromerze, Daltona („Las-ciana nebsten ältesten Synodalprotokollen Polens“, źródłowa praca o Janie Łaskim).

Po pierwszej wojnie światowej za-interesowania przeszłością Polski na odcinku dziejów kościelnych powsta-ja u nas z żywiołową siłą. Prace nad dziejami reformacji koncentru-ja się wokół czasopisma „Reforma-cja w Polsce“. Czasopismo to dru-kuje pierwszorzędnej wagi studia, szkice i materiały naukowe. Uka-żuje się nie bez polskich inspi-racji kapitalna bibliografia dzie-juw kościelnych w Polsce Karola Völckera „Kirchengeschichte Polens“.

Rodzą się zainteresowania dzieja-mi najciekawszego pod względem kulturalnym odłamu reformacyjne-go, antytrynitarzy (zwanych popu-larnie, choć nieściśle, arianami), po-siadających swoje gminy i bardzo ciekawą historię na terenie dzisiejszej Kielecczyny. Zjawia się szereg prac z zakresu dziejów antytrynitarzy polskich, a między nimi Konrada Górskiego „Grzegorz Paweł z Brze-zin“, monografia z dziejów polskiej literatury arianskiej XVI w. nie za-stąpiona dotychczas historia pierw-szych lat reformacji w Polsce — o-kresu, który przez rozłam w kal-wińskiej gminie małopolskiej dopro-wadził do narodzin antytrynitarzy polskich. Doszło do odkrycia ma-lopolskiego ośrodka bujnego życia kul-turalnego, drukarni i szkolnictwa, do odczytania dziejów bardzo poważnej nauki antytrynitarzkiej: teologii, kry-tyki tekstów, pedagogiki, filozofii, matematyki.

ARIANIE POLSCY

OKAZAŁO się w trakcie drob-az-gowych badań źródłowych, że uczeni polscy stworzyli w okresie ciemnoty siedemnastowiecznej bardzo poważny ośrodek pierwszego naszego Oświecenia siedemnastowiecznego, przed Oświeceniem osiemnastowiecz-nym. Okazało się, że polskie, rodzime nasze Oświecenie wywarło spory wpływ na powstanie Oświecenia zachodnio-europejskiego. Twórcą pra-wa międzynarodowego, Hugo Grotius, filozofowie — Spinoza i Bayle dużo zawdzięczają naszym antytrynitar-skim badaczom naukowym. Katolicy francuscy w. XVII z duchowego arse-

nału naszych antytrynitarzy czer-pią argumenty przeciwko rodzącemu się we Francji ateizmowi. Tylko na-sze Oświecenie nie wie o swoich poprzednikach sprzed stu lat, wedru-jąc po wiedzę na Zachód.

Tej właśnie interesującej roli dzie-jowej arian polskich poświęcona jest broszura Zbigniewa Ogonowskiego „Arianie polscy“ (Warszawa 1952, Wiedza Powszechna, Państwowe Wy-dawnictwo popularno-naukowe). Au-tor w świetle wszystkiego, co po-wiedziano wyżej o historiografii an-tytrynitarzów, miał pracę nietrudną: popularnie zreferować historię arian, ich ideologię i literaturę — na pod-stawie bogatej już i dostępnej lite-ratury naukowej.

Jak wybrnął z tego zadania?

Praca składa się z dwu części. Pierwsza część ma charakter ściśle historyczny, druga — traktuje o historii literackiej polskiego siedem-nastowiecznia arianskiego.

Część historyczna daje rzeczowe i dość dokładne (czasami za dokładne, jak na potrzeby kompendium popular-nego), obiektywnie wierne informacje o reformacji na Zachodzie Europy, o reformacji w Polsce, o sposobie po-wstania na gruncie kalwińskiej gmi-ny w Pińczowie pierwszych różnic re-ligijnych, które stopniowo doprowa-dzają do rozłamu w małopolskim obo-zie reformacyjnym na ecclesia maior (obóz kalwiński) i ecclesia minor (grupę antytrynitarzską). Ida dalej jasne informacje o ideologii antytry-nitarzy w trzech zasadniczych okre-sach: wstępnym — radykalnym, środ-kowym — sprzeczności wewnętrz-nych i końcowym — socyjalistycznym. Wszystko to czyta się łatwo, na ogół bez wewnętrznego oporu.

Budzą się w czytelniku wątpli-wości, ale nie jest ich dużo. Tak np. autor nie daje, zdaniem naszym, jed-nolitego sądu o pierwszym rakowskim okresie (od założenia Rakowa w r. 1569 do reformy Szymona Ronenber-ga, słynnego krakowskiego apteka-rza). Nie wystarcza również, zdaniem naszym, sąd autora o drugim okresie rakowskim, ocenionym na ogół ujem-nie. Tymczasem nie ulega wątpli-wości, że organizacyjnie i pod wzglę-dem twórczości kulturalnej był to okres — mimo wszelkich autorskich zastrzeżeń natury społecznej, które uznajemy — najchlubniejszy w całej historii antytrynitarzy, znamionujący się ładem wewnętrznego życia gminy rakowskiej i żywą twórczością nau-kową, promieniującą na szczyśle koła przyjaznych arianom ziomków, jak również w stopniu znaczącym na zagraniczne koła naukowe. Zastrze-żenia pod adresem książki Ogonow-skiego należy również wysunąć z okazji obrazu szkolnictwa antytryn-itarzkiego, zarysowanego niezupełnie. Rozpoczynanie dziejów szkolnictwa arianskiego od gimnazjum rakowskie-go, a więc od r. 1602, nie jest oczy-wiście ściśle. Tradycje szkolnictwa braci polskich sięgają przecie gim-nazjum pińczowskiego, założonego w r. 1556 przez Francuza, Piotra Statoriusza z Thionville w oparciu o wzory Cordiera. Statoriusz, po prze-jściu w r. 1562 na stronę antytrynita-

rzy, zmienił charakter swej szkoły, która do roku 1571 służy wychowa-niu w duchu antytrynitarzskim. Gim-nazjum pińczowskie jest pierwszą szkołą humanistyczną w Polsce i jest chlubą naszego szkol-nictwa renesansowego. Tradycje gimnazjum pińczowskiego w spo-sób niejako automatyczny przejm-uje słynna szkoła w Lubartowie, prowadzona przez wybitnego pedago-ga arianskiego, Wojciecha z Kalisza (1588—1597). Gimnazjum rakow-skie, założone w r. 1602, stało się na-turalnym dziedzicem tradycji obu szkół — pińczowskiej i lubartowskiej. Taki jest ciąg tradycji szkolnictwa antytrynitarzkiego w w. XVI i XVII, którego nam praca Ogonow-skiego nie odkrywa. A odkrycie tego przed czytelnikami miałyby większą wartość dydaktyczną, w popularnym zwłaszcza ujęciu, niż obciążenie pa-mięci tego czytelnika szeregiem nazw miejscowości, w których istniały in-ne jeszcze szkoły antytrynitarzkie, niekiedy o żywocie efemerycznym. Na ogół jednak książka Ogonowskie-go w swej części pierwszej, ściśle historycznej, spełnia z powodzeniem swą rolę informacyjną, dając czytel-nikowi szereg dokładnych, sprawdzo-nych wiadomości, prawdziwą wiedzę o rzeczywistości historycznej. Ilustra-cje są miłym urozmaiczeniem tekstu. Tutaj drobna korekta. Zborem różno-wierzczym w Pińczowie nie był kościół parafialny, którego fotografię widzi-my w książce. Zborem tym był klasz-tek paulinów na Mirowie, przedmie-sciu Pińczowa, skąd Oleśnicki, właściciel Pińczowa (potomek rodziny słyn-nego kardynała, Zbigniewa) wypędził zakonników, zamieniając klasztor na zbór różnowierczy.

KRYTYKA PRACY OGONOWSKIEGO

JĘZELI pierwsza część pracy Z. Ogonowskiego utrzymywana jest w poprawności rzeczowej, nie da się tego powiedzieć o części drugiej, charakteryzującej literaturę pięknią arian polskich. Nie wiem, dla-czego wydawnictwo wypuściło w tak niedojrzałym, nieprzemysłanym i niekontrolowanym kształcie książkę, przeznaczoną dla mas (7910 egzempla-ry), które mają się z niej uczyć po-stepowej polskiej tradycji kultural-nej. Książka nie nauczy nikogo, jak wyglądała dawna literatura arian-ska; przeciwnie — powoduje wiele szkody i chaosu w głowach czytelników.

Verbalizmem jest wyliczanie naz-wisk wielu autorów, jak Samuela Przypkowskiego, Waleriana i Sa-muela Otwinowskich, Krzysztofa Arciszewskiego, Piotra z Goniądza, Mar-cina Czechowicza, Jana Niemojew-skiego bez bliższego wyjaśnienia, co te nazwiska znaczą konkretnie w historii literatury i kultury polskiej (tu nawiasowa uwaga w związku z Arciszewskim, że nie był on jedynym Polakiem, który w tym okresie do-szedł do wielkiej godności w wojsku cudzoziemskim: podczas wojny trzy-dziesięcioletniej zdarzyło się to wielu Polakom, jak np. słynnemu Przyjoms-kiemu). Niektóre z tych nazwisk odgrywają dużą rolę i warto byłoby szerzej o nich napisać, np. o Przyp-kowskim, nie tylko tegim filozofie,

ale i niepoślednim poecie, którego wiersze często widnieją w siedem-nastowiecznych sylwach: jego słynną lirykę patriotyczną „Ad moestam Poloniam“ tłumaczyło aż trzech poetów współczesnych Przypkowskiemu na język polski (A. Wiszowaty, Zbig. Morsztyn i Wacław Potocki). To ta-ka sama słonna pozycja literacka, jak liryka Z. Morsztyna „Pieśń w uścisku“. Zamiast tego wszystkiego autor niepotrzebnie wdaje się w oma-wianie martwych dla zarysu popular-nego poezji literackiej Józefa Do-maniewskiego, Stanisława Morsztyna czy innych jeszcze pisarzy. Brak w tej popularnej książce „popular-nych“ proporcji literackich. Ra-żąc nas w tym szkicu o literaturze polskich arian sady niedojrzałe, nie-kompetentne, niekiedy rozbrajające swą naiwnością. Sady o twórczości polskich arian niedokładnie informują czytelnika o rzeczywistości literackiej — zarówno sady ogólne, jak i sady szczegółowe. Sytuację pogarsza ma-niera stylizacyjna autora, który skłonny jest w sposobie formułow-ania ocen autorów i dzieł wybijać sam-e prawie fortissima tak pozytywne jak i negatywne.

Przed wszystkim autor nie rozróż-nia dobrze poezji od prozy, kompet-encji jednego i drugiego gatunku piśmiennictwa. Świadczy o tym cha-rakterystyka twórczości Potockiego, w której nie widać przemysłanego, konsekwentnego programu naprawy państwa. Na to nie było stać dosyć ograniczonej w gruncie rzeczy umysłowości Potockiego, toteż w tej dziedzinie pozostaje daleko w tyle za Fryczem Modrzewskim. Autor nie wie, że nie można wyma-gać od Potockiego — poety — jakie-żkolwiek konsekwentnego programu napra-wy państwa, czego mamy prawo do-magać się od Modrzewskiego pro-zaika.

Autor nie wie, pisząc o fraszcze, co to właściwie takiego jest fraszka ja-ko rodzaj literacki. Biorąc asumpt z dzisiejszego potoczego znaczenia wy-razu „fraszka“, sądzi, że utworem fraszkowym jest wyłącznie utwór lekki w treści, humorystyczny czy ko-miczny. Stąd takie sady przy Potoc-kim: „Interesujące są natomiast fraszki, często bardzo nieobyczajne i różne obrazki obyczajowe, pisane z dużą dozą humoru, wielokroć (?) jur-nego (?), ale zdrowego (?). Dopel-niają one obraz (sic) życia Polski siedemnastowiecznej, które poeta od-tworzył z taką plastyką i drobiazgo-wością... „Zgrupowane są one (sic) drobne twory Potockiego“ w dwu wielkich zbiorach: „Ogród fraszek“ i „Moralia“. W pierwszym zbiorze znajdujemy nie tylko fraszki, jak to sugeruje tytuł zbioru, lecz również poważne utwory na tematy społeczne i polityczne.

Z dezorientujących sądów ogólnych zacytujmy jeszcze jeden: o języku literackim dawnej Polski. Autor twierdzi, że „język Polski, zwłaszcza proza (bo w poezji mieliś-my już wtedy Kochanowskiego) był jeszcze nie bardzo wyrobiony. Było więc niezmiernie trudno wyrażać w nim pojęcia abstrakcyjne, pisać o sprawach filozoficznych i religijnych. Arianie pierwsi zaczęli pisać po pol-sku o rzeczach zawłych i skompliko-

wanych, stworzyli specjalne słowni-ctwo dla oznaczenia nowych terminów, wyginastykowali język i uczynili go zdołnym do tego, że można było w nim pisać traktaty naukowe. Jest to wielka ich zasługa“.

Jest to sąd rażąco nieścisły. Nie arianie pierwsi zaczęli pisać o spra-wach teologicznych, filozoficznych. Polemika arian przeciw katolikom i różnowiercom w sprawach religijno-społecznych zaczęła się dopiero po r. 1562, po fakcie wyodrębnienia się antytrynitarzy z gmin kalwińskich. Odtąd dopiero rozpoczyna się ich pła-dna w zakresie językowym praca, która dochodzi do poziomu kulmina-cyjnego w w. XVII. Nie były to jednak zasługi startowe. Przed wy-stąpieniem arian mamy już w litera-turze polskiej bogatą literaturę teolo-giczno-filozoficzną, głównie polemiza-ną, stworzoną przez katolików i róż-nowierców, w której dochodzi do emancypacji języka polskiego spod dotychczasowej łacińskiej tyranii, do jego wydoskonalenia i wysubtelnienia w zakresie wyrażania pojęć abstrak-cyjnych. Duża tu zasługa Królewca (Seklucjan, St. Murzynowski, Miko-laj Rej i inni) a z katolików — Kro-mera i Hozjusza. Wspaniała polszczy-zna, zdolna do wyrażania subtelnych pojęć oderwanych, pisana jest „Roz-mowa dworzanią z mnichami“ (1551) czy Hozjusza „Księgi o jasnym a szczyrym słowie bożym“ (1562).

Równie niedojrzałe są sady szcze-gółowe autora, jego oceny autorów — oceny nierzeczowe. Zatrzymam się na charakterystykach Zbigniewa Morsztyna i Wacława Potockiego.

„Zbigniew Morsztyn jest przede wszystkim lirycznym, co jest zjawis-kiem niemal odosobnionym w poezji drugiej połowy XVII w.“ Oczywiście fałsz.

„Czytelnika uderza mile szczeroci i prostota, brak wszelkiej przesady i całego owego aparatu mitologiczne-go, którego tak nadużywają siedem-nastowieczni poeci. Bogowie i bohaterowie starożytni, różne Apolliny, Marsy, Zeusy itp. występują w jego (scil. Z. Morsztyna) utworach bar-dzo rzadko“. Nie wiadomo, co robić z tym uogólnieniem, pozbowianym rzeczowej treści, przypominającym niefrasobliwość intelektualną, nie-które sady ks. Benedykta Chmielow-skiego z „Nowych Aten“. Równie niewłaściwe jest stanowisko autora, któ-ry stale przekonywa nas, że stanowisko religijne pisarza jest równo-znaczne z jego odcieniem się od spraw tego świata.

Charakterystyki Potockiego tchną prymitywizmem autorskim, który się pozbywa kłopotów szeregiem ogólni-ków. „Potocki był wielkim poetą, za-komitem satyrykiem i moralistą: nie-stety, ograniczał się wyłącznie do krytyki i przesróg“, czytamy w jed-nym miejscu. To tak, jakby się mia-ło pretensje do Mickiewicza, że nie uprawiał niwy poezji satyrycznej, albo pretensje do dębów, że nie rosną pod kolor i kształt brzozy. „Zaden z poetów staropolskich nie przewyższył go (scil. Potockiego) ani mu nawet nie dorównał w ciętości i ostrości sa-tyry“ — czytamy w innym miejscu. Twierdzenie oczywiście nieścisłe, bo można zacytować poetów w w. XVII, którzy stanowczo przerastają Potoc-kiego „ciętością i ostrością satyry“. Tak jest np. Łukasz Opaliński, na-wet Krzysztof Opaliński i Samuel Twardowski. Sąd znowu, że „Wojna chocimska“ Potockiego to „jedeny może z wielu poematów siedem-nastowiecznych godny tego miana“, jest sformułowany niepotrzebnie w kształcie fortissimo, o jedną oktawę za wysoko. Jest oczywiście z gruntu fałszywy. Znany poematy w w. XVII, o całej niebo doskonalsze od szacownej zresztą „Wojny chocim-skiej“. „Jeruzolima Wyzwolona“ Tas-sa-Kochanowskiego jest poematem, który jest prawdziwie godny tego miana w wieku siedemnastym. Poza „Jeruzolimą“ są w w. XVII inne jesz-cze poematy, innych jeszcze autorów, które artystycznie są doskonalsze od „Wojny Chocimskiej“.

W podobnym guście utrzymany jest cały rozdział o literaturze arian-skiej.

Juliusz Nowak Dłuzewski



Jan Matejko — z cyklu „Dzieje cywilizacji w Polsce“
Wiek XV — nowe prądy

Zbigniew KUTHAN

O B I E C U J A C A E W O L U C J A

ZAWARTA w 7 numerze „Twórczości” recenzja Henryka Berezę o dwóch książkach Jerzego Stawińskiego rozproszyla moje wątpliwości co do ich autorstwa. Sądziłem bowiem, iż każdą z powieści pisał ktoś inny i przypuszczałem, że w przekonaniu tym nie byłbym odosobniony. Obie te różnice się zasadniczo poziomem książki nie zdradzają podobieństw. Poza tym, autorem wydanego w 1952 r. „Światła we mgle” jest Jerzy Stawiński, zaś wypuszczone na rynek w roku bieżącym „Herkulesy” wymieniają na okładce jako autora — Jerzego Stefana Stawińskiego. No we mnie wprowadzone przy drugiej książce zdaje się sugerować jakąś chęć rozróżnienia. Odpowiednia nota redakcyjna, jakies „tegoż autora” czy temu podobne — zapobiegłoby skutecznie nieporozumieniom.

„Światło we mgle” od pierwszych swych stron zdaje się obiecywać książkę o polskiej szkole w epoce sanacyjnej, czyli utwor, którego brak dotąd naszej literaturze. Przyczynkiem do tego zagadnienia była m.in. wydana przed wojną i wznowiona bodajże w r. 1947 powieść Lukaszewicza „Nauczyciele”, z prac zaś współczesnych wspomnień należy charakterystyczny fragment opowiadania Stanisława Zielińskiego — „Sobotni wieczór” oraz wydana ostatnio „Czarna wiosna” J. N. Kłosowskiego.

„Światło we mgle” nie zaspokaja jednak w pełni oczekiwań czytelnika. Szkolne losy zaprezentowanych w prologu książki chłopców, zajmą w powieści najmniej miejsca; więcej już uwagi poświęci autor podchorążówce, w której się znajdują dwaj bohaterowie — i ta partia utworu jest chyba najlepsza. Ponadto przedstawione zostają machinacje obcego kapitału w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem hitlerowskiej penetracji ekonomicznej, dzieje uczącego się świadomości społecznej robotnika, który od baraków Annapola, przez strajk fabryczny doprowadzony jest aż w szeregi obrońców Warszawy 39 r., oraz rodzina biednego politycznie inteligenta — pełnego niechęci i nieufności do sanacyjnego rządu, lecz popychanego przez ograniczoną żonę typu kawiarnianej damulki do robienia kariery poprzez działalność w Ozone. Pokazano również proces zerwania drobnej wytwórczości krajowej przez zagraniczny przemysł, bałagan mobilizacyjny, pierwsze dni wojny z obłędem Warszawy oraz wiele innych rzeczy.

Autor porwał się więc na panoramę i siły go w tym zamierzeniu — trzeba to rzec otwarcie — zawiodły. Książka nie robi wrażenia organicznej całości, lecz montażu o łatwo w docznych spojeniach. Przypomina ze gar poprawnie wprawdzie złożony,

lecz nie wyregulowany i nie wskazujący należycie właściwego czasu. Powieści brak jest tego samoistnego życia, które sprawia, że bohaterowie zdają się wychodzić z jej kart, a przez czytelnika traktowani są z całą powagą, jako postacie atrakcyjnym swym ludzkim prawdopodobieństwem.

W „Światła we mgle” widać jakieś odbarwienie rzeczywistości, zagubienie szczegółów drobnych może, lecz istotnych dla fabuły, których umiejętny dobór książkę wzbogaca i urealnia. Gdy np. ezonowaki pochodzą skądś z czolobitnościami dla Rydzas-Śmigłego, wydaje się, iż nie oddano tam w pełni atmosfery ówczesnej Warszawy; zawiniła tu może również anonimowość ulic, których zwykle nazwy są nam tak bliskie, że nie wolno ich zatracać (przypomnijmy sobie wygrana bitwę o zachowanie blahych nazw ulic, jak Krucza czy Żelazna)...

Tylko warszawiak odczytuje te strony książki Stawińskiego, lecz atmosfera wspomnień ulega jednak rozrzedzeniu. Nie jest rzeczą objętą dla nastroju opisu, że uczniowie wychodzą właśnie z Teatru Polskiego, a nie jakiegoś anonimowego teatru, że spychają się właśnie z cokołu pomnika Kopernika i potem wędrują w ślad za pechodem przez Nowy Świat i Plac 3 Krzyży...

Podobnie w nawiązywaniu do bieżących wypadków politycznych autor wyreczuje się jakimś wyciągiem z głosów prasy, opatrzonym anonimowym komentarzem któregoś z bohaterów. Metoda ta jest w powieści nadużywana i w swej zasadzie zawodzi. Toteż przy słusznie ustawionej koncepcji książki szwankuje w niej „jedynie” owa umiejętność, która z dziesiątków motywów wybierze tylko jeden, a najbardziej jako właściwy do zastosowania, a z tuzina formalnie jedno-brzmiających synonimów znowu posłuży się tym jednym, który tu właśnie w pełni przemówi.

Nie brak jest zresztą momentów udanych, słusznych założeń i trafnych uogólnień. W mało wyrazistej postaci Rostkowskiego, którego przyczynność nie została w pełni ukazana, dobrze uwypukla się zasadniczy i jedy ny talent — aby umieć kupić wszystko co potrzeba: zarówno rzeczy materialne, jak również miłość, stopień oficerski i koleżeńską przysługę... I tak jak jego ojciec — agent i astroh-mann obcego kapitału — okrada robotników i własny kraj, tak Rostkowski w chwilowej potrzebie — bez skrupułów ukradnie biednemu koleżce przy zdawaniu w podchorążówce sortów mundurów dwa koce, by oszczędzić sobie już nie pieniędzy — bo ma ich poddostatkiem, lecz służbowych korowodów i formalności.

ZUPEŁNIE inną pozycję stanowią niedocenione mój zdaniem „Herkulesy”. Bezsporną zaletą autora jest tu „pionierskość” książki, pierwszej powieści o życiu młodzieży szkół wyższych w Polsce Ludowej. In magnis voluisse sat est. O stanie uczelni akademickich u nas ukazało się wiele publikacji typu programowego, statystycznego, sprawozdawczego — materiałów niejednokrotnie cennych i potrzebnych, ale jakoś pośrednich, pozostających w swoistym dystansie do przeciętnych student-ckich dni.

„Herkulesy” przynoszą codzienną rzeczywistość życia akademickiego. Sukces autora przejawiał się usytuowaniem trafnie zarejestrowanych osiągnięć i niedociągnięć w życiowo

prawdziwym, przekonywującym konfliktach, konkretnej sytuacji. Zamiast katalogu faktów ze „Światła we mgle”, osadzających się w świadomości czytelnika jakoś równocześnie, mamy w „Herkulesach” perspektywę i istotnie powieściowe osadzenie problemów na jakichś zgranych z sobą nawzajem osiach.

Bohaterem książki, studentem I roku Akademii Medycznej w Białymstoku, jest Józef Gander, syn „średniego”, 5 hektarowego gospodarza, a potomek ukaranego za nieposłuszeństwo przez hetmana Branickiego chłopca 50 kijów pańszczyźnianego chłopca. W pałacu tegoż Branickiego wyrzucającego pieniądze na sprwadanych z Paryża hochsztaplerskich quasimedyków — kształci się dziś na lekarza potomek sponiewieranego chłopca. I tak się rzeczywiście dzieje. To nie bajka ani fikcja literacka, ale codzienne życie, jakie stało się naszym udziałem.

Józef Gander nie słyszał o swym buntowniczym przodku; powiedziano mu o nim dopiero w Akademii. Lecz przedtem jeszcze, choć nie znając „rewolucyjnych tradycji” swego rodu — mocno chwycił szansę daną mu przez państwo — prawo do nauki. I gdy już będąc studentem dowiędzie się o losach pradziada, czytelnik doznaje wrażenia zamknięcia się jakiegoś logicznego koła przyczyn i skutków.

Ganderze, który w chwili dostania się na uniwersytet mało co wyrósł z kręgu problematyki rodzinnej wsi i myśli jeszcze gwarą — część krytyki zarzuca głupkowatość i nieledwie małtołstwo.

Wydaje się jednak, iż właśnie na tle niewyrobienia intelektualnego i życiowego Gandery przeobrażenia, które on przechodzi, zaznaczają się szczególnie dobitnie i są tym bardziej przekonywujące. W ciekawej i rzeczowej recenzji Henryka Berezę znajdujemy zdanie — „Gdy Józef Gander zakochał się w córce białostockiego

urzędnika i byłej sklepikarki, jedynym niekompromitującym zetempowca rozwiązaniem sprawy byłoby albo starać się ją wychować, albo się odkochać”. Otóż Gander stara się wychować, bo sam się jeszcze nie wychował, a ponadto — czy jednak zawłóci życiowe nie składają się właśnie z zjawisk tego typu, że np. ZMP-owice właśnie nie zawsze reaguje po zetempowsku, że — aby uogólnić — działanie ludzkie zawsze niemal uchyla się jakoś od normy, zabarwia okolicznościami czy indywidualnością?...

Podobne zastrzeżenia budzi wymienia, ona w kilku recenzjach na niekorzyść autora — historia zawłóci w drówkę Gandery w poszukiwaniu „opinii” o sobie. Pomiśnienie akt personalnych uniemożliwia mu przyjęcie do Akademii i wiele wysiłków kosztuje go wyjaśnienie sytuacji. Czy jednak odesyła chłopaka w najży-wotniejszej dlań sprawie może zostać nazwana momentem blahym? Przecież chwila ta warunkuje cały bieg książki i symbolizuje ona w jakiś sposób walkę człowieka z biurokratyzmem i czynną nieudolnością.

STAWIŃSKI trafnie obrazuje skomplikowany proces wzajemnego oddziaływania na siebie studentów różnych środowisk i światopoglądów, ich różny stosunek do codzienności, zagadnień nauki i polityki. Nie brak tu dokładności nawet w drobnych szczegółach. Gdy bumelant Karski nieoczekiwanie przenosi się z medycyny w Białymstoku na ... historię sztuki w Warszawie, mieści się tu prawda o swoistym uprzywilejowaniu tego wydziału obfitującego w „kociaków” i pozłacanych młodzieńców.

Istotną natomiast i jakoś nie wyciętą usterką książki jest niemal całkowite pominięcie w opisie środowiska profesorów i innych pracowników naukowych. Przelotnie pokazany rektor i przyjmujący kolokwium asystent nie wyrównują tego braku.

Uwaga krytyki w znacznym stopniu skupiła się na drugiej z ważnych postaci książki, działaczu młodzieżowym Sapińskim, poprzez którego autor pokazał szkody, jakie w życiu społecznym przynieść może jednostka, gdy wczyna w niej górze egoizm i dyktatorstwo. Słuszny jest zarzut, iż w połowie książki Sapiński w sposób może nadbyt krańcowy znie-nia się z woli autora z groźnego szkodnika w porządnego chłopca, lecz i tu samo postawienie sprawy pozostawia nam musy być za zasługę.

Rozmaite warianty „sapińszczyzny” spotykamy na wszystkich terenach życia społecznego i autor — gu-biąc się może w psychologicznym rozwikłaniu postaci organizacyjnego wó-dzireja — trafnie nakreślił złożone reakcje pojedynczych jednostek i zbiorowości studenckiej na jego wyczyny. Nie jest przypadkiem, że Sapiński faworyzuje obco sobie klasowo Jarskiego, gdy stanie się oden zależny materialnie. Typowa jest też reakcja Danusi, oportunistycznie odradzającej Ganderze sporu z dyktatorem. Książka spełnia tu tezę zawartą w recenzji z „Herkulesów” Ludwika Flaśzka, gdzie czytamy: „Wnioski i uogólnienia, wynikłe ze studium środowiska, w swej głównej części dla niego tylko aktualne, muszą na własnym, własnym materiale potwierdzać ogólną prawidłowość kraju, przeżywanego socjalistyczną rewolucją”. („Życie Literackie”, nr. 20 1953 r.).

Inna rzecz, że w drugiej części książki autor ma widoczny kłopot z rozwikłaniem wytworzonej sytuacji i proces ten mniej mu się udaje. Czy jednak postać Sapińskiego nie jest przykładem, jak nie tępiące zło krzewi się w człowieku coraz bardziej, przekształcając go ostatecznie z potencjalnie wartościowej i normalnej jednostki we wszechstronnie szkodnika? Oczywiście, zagadnienie powrotu takiego osobnika do stanu pozytywnego społecznie jest trudne do narysowania i łatwo tu o potknięcie dla pisarza.

Swoistość porządku filozoficznego

Dokończenie ze str. 3

ne, które wyodrębniają ciała i utrzymują rzeczywistość odrębność pomiędzy samymi energiami. Więcej jest jeszcze racji, aby odegrała te samą rolę w botanice i zoologii, gdzie typami są fakty, a prawa są jeszcze bardziej oczywiste. Lecz typologia jest problemem naukowym całkowicie powszechnym, który dotyczy zarówno tego, co nieorganiczne, jak i tego, co organiczne i aczkolwiek obecna orientacja nauk jest zwrócona ku czemuś innemu, to pozostaje faktem i zawsze konieczne będzie branie pod uwagę, iż forma jest jedyną podstawą, która pozwala to wyjaśnić.

Nie chodzi zatem o zaprzeczenie hylemorfizmu bytów nieorganicznych; tym jednak, co się zdaje oczywiste, jest dokładne rozróżnienie pojęcia formy organicznej i pojęcia formy nieorganicznej. Formae naturales sunt actus. sae et quasi vivae — mówili scholastycy. Pomiędzy mechanizmem kartezjańskim, który robi ze zwierząt maszyny, a witalizmem arystoteliańskim, który robi z ciał fizycznych zwierzęta, powinno być miejsce na mechanizm tego, co fizyczne i witalizm tego, co biologiczne. Każda „natura” wymaga zasady formalnej, lecz nie każda forma jest żyjąca. Zasada struktury układa energii, lecz nie źródło energii, dając się wyliczyć lub dającej się wykazać eksperymentalnie — forma nieorganiczna nie jest wewnętrznie spontanicznością, której dające się dostrzec ilościowe wariacje byłyby skutkami.

Lecz jednocześnie zdaje się, iż nie powodzenie fizyki średniowiecza nie dotyczy wartości jego filozofii, a na wet w pewnym sensie potwierdza ją, ponieważ filozofia ta spotkała się z niepowodzeniem tylko dlatego, że nie była dostatecznie wierna swoim zasadom. Nie ją nie zmusza do pozostawiania przy astronomii Ptolemeusza, przy geocentryzmie, przy tłu-

zeniu ruchów ciał niebieskich przez „Inteligencje poruszające”, nie jest zobowiązana wierzyć wraz ze św. Tomaszem, że formy substancjalne ciał obdarzają je determinowaną inklinacją ku pewnemu miejscu, ani że odbicie i zatamowanie się promieni świetlnych są to „metafory porządku cielesnego”, mające wyrażać rzeczywistości niematerialne. Nikt nie jest na tyle uparty, aby nie uznać, że to, co jest fałszywe, jest naprawdę fałszywe. I nie tylko ten cały lamus naukowy powinien upaść i rzeczywiście upadł, lecz z konieczności upada jednocześnie wszystko, co się na nim opierało w porządku metafizycznym i psychologicznym. Przewartościowanie tradycji średniowiecznej musi się zatem rozpocząć od zasad; nie można z góry przesądzać, co one mogą lub nie mogą dać, lecz poddać je należy swobodnej próbie, aby zobaczyć, jak daleko rozciąga się ich wartość eksplikatywna względem tego, co rzeczywiste. Problem nie polega na wprowadzeniu ich do nowych systemów, z których przestarzałymi elementami wydawałyby się raz jeszcze związane, lecz na odtworzeniu ich w pierwotnej czystości i w nieprzemijającej płodności, a to w tym celu, aby przynajmniej nie dopuścić do zatraty dóbr duchowych, które powinny być dla nas już raz na zawsze zdobyte.

Pierwszym i najbardziej koniecznym z tych dóbr jest istnienie filozofii jako autonomicznej dyscypliny myśli oraz metafizyki, która filozofie te wieńczy Stara definicja filozofii zachowuje swą wartość i uzna ją ostatecznie sam August Comte: Filozofia jest nauka mądrości. A zatem zawiera ona w sobie całość nauk, z których każda usiłuje stworzyć sobie narzędzie dostosowane do tego porządku rzeczywistości, któ-

rego wyjaśnienia się podejmuje. Wszakże poza problemami, które są wysuwane przez różne mody bytu, istnieje też problem, który jest wysunięty przez sam byt. Nie chodzi tu już o to, jak istnieją te lub inne rzeczy, lecz o to, co znaczy: istnieć? Na czym polega istnienie? Dlaczego ono jest, skoro to istnienie, które jest nam dane, nie wydaje się zawierać w sobie swojej własnej racji wystarczającej? Czy jest ono konieczne czy przypadkowe? A jeżeli jest przypadkowe, czy nie wymaga ono istnienia koniecznego jako przyczyny i wyjaśnienia? Taki jest oto przedmiot nauki najwyższej, do jakiej umysł ludzki jest zdolny się podnieść w porządku poznania czysto naturalnego: nauka o istnieniu ponad naukami o sposobach istnienia. Nauka ta nazywa się metafizyką. Podstawy jej stworzyli Grecy, jasno pojawiają jej konieczność, a filozofia chrześcijańska nie pozwoli nigdy, aby ona zginęła, ponieważ jest to pierwsza i jedyna nauka, dla której samo istnienie bytów ukazało się i ukazuje jeszcze teraz jako przypadkowe, a więc tym samym jako wymagające własnej zasady wyjaśnienia; natura tej zasady winna być badana przez naukę odrębną od innych i w stosunku do nich nadrzędną, przedmiotem jej bowiem jest problem, bez którego nie można by postawić żadnego innego. Póki będzie istniała chrześcijaństwo — póty będzie istniała metafizyka, aby zwać różne różne modalności istnienia z Tym, qui non a li que modo est, sed est, est. Każda nauka ma swoje miejsce, lecz ponad wszystkimi innymi jest ta, bez której nie mogłoby być w ogóle nauki, ponieważ nie byłoby ani rzeczywistości do poznawania, ani inteligencji do jej pojmowania.

Etienne Gilson

(Podaliśmy obszerny wyjątek jednej z prac Gilsona ze zbioru pt.: „Realizm Metodyczny”, Paryż 1937. Pierre Téqui.)



AWICENNA

ABU ALI IBN SINA

Praca zbiorowa pod red.
A. Zajaczkowskiego
str. 244 z 14.

PAŃSTWOWE
WYDAWNICTWO
NAUKOWE

Fotografie nagrobkowe artystyczne gwarantowane wykonanie 7 dni. Stoczkiewicz, W-wa, Nowy świat 30.

Jerzy KRZYSZTOŃ

TANIEC ZACZAROWANY

K. Sreenivasulu: *Wieniec lotosu*

— „A zamiast pędzla używali o. gonków wiewiórczych — mówiąc te słowa Hor Krishan się uśmiechnął. — Wiewiórka, pan wie?

Staliśmy przed rzędem zawieszonych na ścianie starych miniatur hinduskich. Przez otwarte drzwi widać było wewnątrz następną salę wystawową z mozaiką płócien migających na parkietowej podłodze. Hor Krishan, młody malarz i wykładowca Akademii Sztuk Pięknych w jednym z miast indyjskich, opowiadał mi przed chwilą o dziejach narodzin miniatur ze szkoły mogulskiej.

— To dziwne — powiedziałem — dlaczego właśnie wiewiórka... Czemu nie słowik? Ci mogulscy mistrzowie powinni malować piórkami słowiczym.

Hor Krishan zaśmiał się robiąc przeczący ruch głową.

— Bo widzi pan — ciągnąłem — artysta radziecki, Ioganson, odczuł wasze malarstwo nie jako opowiadanie, ale jako pieśń. Pieśń o życiu narodu. I kto wie, czy nie utrafił w sedno.

— Pieśń... To wiele mówi. Tak, znam ten bardzo przychylny dla nas artykuł Iogansona. Ale ja bym powiedział, że malarstwo nasze to raczej...

— ...taniec. — Dokończyłem, sam nie wiedząc, skąd mi to przyszło.

W sąsiedniej sali kilka ludzi pochylało się raz po raz, by ująć podłogę jeden nasycony barwą kwadracik i ostrożnie, ze skupionym szcunkiem, umocować go na ścianie.

KIEDY po pewnym czasie pokuksa napisania o malarstwie hinduskim nabrała kształtów ryzykow.

— choć sam nie jest malarzem — o sztuce hinduskiej bez obawy, żeby go nie posądzono o snobizm. Nie wiem i nie zamierzam rozstrzygać tej kwestii.

Mnie osobliwie okarały się bardzo pomocne utrwalone w pamięci fragmenty indyjskiego krajobrazu, migawkowe już tylko wrażenia z pochodów świątecznych i uroczystości religijnych, które miałem możność oglądać, czy wreszcie zwykłe skąpane w słońcu scenki uliczne lub najbardziej wrażliwe się w pamięć — poza obrazami nędzy człowieczej i głodu ludzkiego — najdoskonalsze tańce obrzędowe. Okazały się przydatne dlatego, że na tym materiale dowodowym i konkretnym mogłem sprawdzić zawartość realizmu w wizji malarzy hinduskich.

Kiedy wysunąłem tezę (nie nazbyt zresztą odkrywczą), że malarstwo staroindyjskie opiera się głównie na tematyce religijnej względnie mitologicznej, a współcześni artyści sięgają do tej tradycji raz po raz — tezę tę zbijał punkt po punkcie Hor Krishan. Udowadniał mi z rycerską szlachetnością istnienie pierwiastków religijnie obojętnych właśnie na tym polu, gdzie najłatwiej mógł zostać pobity, tzn. na podstawie ekspozycji szkoły mogulskiej. Wskazywał palcem na sceny polowań, na sceny miłosne, które były przejawem realizmu takiego, na jaki stać było artystów dworskich. Ale nie pokonał mnie, po prostu uskokczyłem w bok, a Hor Krishan punktował powietrze. To było nieuczciwie robić wobec niego taki unik, ale jakoś nie miałem serca powiedzieć mu, iż moim zda-

nie nie o to chodziło, wiem, że malarstwo hinduskie żyje i rozwija się, że kultura hinduska to jedna z tych nielicznych a najdawniejszych kultur — które nie skończyły się bezpowrotnie. Chciałem tylko powiedzieć, że tendencja do mitologizacji, wyrażająca się w obrazach spokojnych i pogodnych, zubożyła oko malarzy hinduskich o pewien wyraźny wycinek rzeczywistości. Że w paradoksalny sposób kazała im widzieć doskonale sceny zasłużonego wyczynu i znoej pracy, sceny zabaw, obrzędów i miłości, krajobrazy pełne seledynowej ciszy — a nie dała im ujrzyć tego, co bije w oczy na każdej ulicy i w każdej wiosce hinduskiej — głodu i cierpienia ludzkiego. Dziwne, że żaden ze znanych mi malarzy dawnych nie sportretował na przykład trędowatego, albo choćby człowieka, któremu podcięła nogi malaria, a żaden z malarzy współczesnych nie zaprotetował i nie zawołał o sprawiedliwość obrazem głodującego dziecka. Pamiętajmy, że najbardziej utrafiający w rzeczywistość hinduską tytuł dał swej książce postępowy pisarz indyjski Bhabani Bhattacharya — „Tak wiele jest głodów”. Pamiętajmy, że przeciętna życia mieszkańca Indii ze względu na fatalne warunki żywnościowe — wynosi 27 lat. O epidemjach i neurodzajach nie trzeba przypominać, wiedzą o nich wszyscy z prasy. Od siebie mogę zapewnić, że w Indiach toczy się walka o sprawiedliwość społeczną, o upowszechnienie dóbr, o reformę rolną, o powszechne nauczanie — i że walka ta zostanie wygrana. I obawiam się, że każdy, kto zwiedzi wystawę, wyjdzie z niej tak silnie oczarowany, aż zapomni, iż owionął go tylko sugestywny i wspaniały sen.

A sen to rzeczywiście rzadki i szlachetny. Sen naprawdę taneczny, je-

śli tak można wyrazić się o śnie. Malarzy hinduskich cechuje wydoskonalony zmysł rytmu i zdaje się, iż tylko dzięki nim można powiedzieć, że istnieje melodia rąk ludzkich. Przy tym wszystkim najwyraźniejszą i najbardziej charakterystyczną cechą malarstwa indyjskiego jest miłość konkretności. Konkretu zdecydowanie wyabstrahowanego, konkretności, który przez to uległ mitologizacji. Wczesne malarstwo hinduskie nie zna światłocienia i stroni od

staraloby się uwiecznić chwilę przełotną, jak gra światła na twarzy kobiecej, a malarstwo hinduskie — uwiecznia chwile wieczne: na obrazach nie padnie nigdy żaden cień. I to — włączając mistrzowską kolorystykę — stanowi o odrębności i artystycznej doskonałości malarstwa hinduskiego. Nie wpływy francuskie impresjonistyczne — ekspresjonistyczne, które przynędy do Indii i którym spory haracz spłaca obecna wystawa; nie operowanie perspektywą

Probodh Das: *Poranna toaleta*

perspektywy. Istnieje tylko konkretność wyciągnięty do ostatniej kreski, jak ów słon, na którym maharadża udaje się na łowy — rzucony na utrzymane w jednym tonie, silnie kontrastowe tło. I gdyby tak pokusić się o porównanie, malarstwo europejskie

wą i światłocieniem, czego Hindusi nauczyli się dość wcześnie od Europy — ale właśnie owa miłość wyabstrahowanego konkretności, owa czułość na rytm i melodię nie tylko ciała ludzkiego, ale i przestrzeni.

Jerzy Krzysztoń

ANDRZEJ ŁEPKOWSKI

Epitafium

WSTĘP

Są strofy o wieczorach płaczących
— szeleszczące zwiędłym romantyzmem.
— Bramy wieczne i świeczki...

Mój wiersz będzie inny.

Napiszę

— o tych, których w drodze zostawiłem,
— których pobytu nie znam.

Napiszę —

jakbym ich zgubił

— jakbym pytał...

DZIADKOWI

To nic, że cmentarz,
— że akcesoria żałobne,
— że lapiduchy w srebrze.

Mnie także dano krepę.
Stałem nad gałkami magnolii,
które czyjeś ręce ciepłe
rzuciły na świeży cement.

Po „Requiescat“ uciekłem
od oczu i szlochów.

Twoje oczy w zmarszczkach
przechowuję dotąd.
Bez trudu rysuję je wdzięcznością,
która z dziecięcej
skrzepła w męską.

KOLEDZE

Zamienialiśmy zeszyty i uśmiechy.

— Dni nasze były jednakowe.

Dlatego nie mogliśmy pojąć
gdy nauczyciel ogłosił po Tobie żałobę.

Dlaczego właśnie na przedwiośniu
na alei niecierpliwiej od pąków
— samochód
jasną drogę spod nóg Ci wytrącił?

KSIEŻOM PROFESOROM ZAMORDOWANYM
PRZEZ HITLEROWCÓW WIEŚNIĄ 1939

Rozdzieliły nas wakacje...
— Przemięły ogniem.
Mówiono o Waszym bohaterstwie.
Chociaż zbrodnie wołały o zemstę
— rozgrzeszaliście broń podłg.

Wystawiam Wam świadectwo najlepsze.

ZNAJOMYM I NIEZNAJOMYM — BEZBRONNYM
OFIAROM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W tych ciężkich latach
dzieliła nas przestrzeń.
Układałem Wasze miasto z wyobraźni.
Wiedziałem, że przeszłość nienajlepszą
odkupujecie dniem każdym.
Trzeba było ofiary strasznej
— aby lęk godnością nie zawładnął.
Śmierć nie zawsze spadała jak jastrząb...
Z rękami skręconymi drutem kolczastym,
pod ścianą domu, który Was nie przetrwał
— długo staliście sami.

Spójrzcie!

— Miasto na Was wykwitło...

Bolesny urodzaj święcimy rocznicą dziewiątą.

Dzień Zaduszny, 1953.

Andrzej Łepkowski

K. Hebbar: *Wiejska narzeczona*

nego może postanowienia, opatrzonego pióro zdecydowałem się na podzielenie z każdym, kto zechce mnie czytać, swoich amatorskich wrażeń.

Półtora tygodnia od chwili zapoznania się z wystawą poświęciłem na wspominki. I teraz nie wiem, czy ktoś, kto był w Indiach, może pisac

niem malarstwo hinduskie ulegało i ulega swoistej mitologizacji. Bałem się, że gdy mu to powiem, mógłby ten sąd odczuć jako zniewagę, jako próbę dowiedzenia, że malarstwo hinduskie skończyło się ładnych parę tysięcy lat temu na freskach w jaskiniowej świątyni w Adżante. Ale

GUSTAW I INNI

(Na marginesie »Ślubów Panieńskich« w Warszawie)

„Śluby panięskie“ pisał Fredro długo: rozpoczął na trzy lata przed powstaniem listopadowym, skończył w dwa lata po jego wybuchu, a premiera sztuki odbyła się we Lwowie 15 lutego 1833. W bieżącym więc roku upływa 120 lat od tej chwili. Okres to długi; zdążyło wy-



Albin — C. Wollejko

mrzeć kilka pokoleń, umarło więcej jeszcze dzieł literackich, które Anno Domini 1833 przyjmowane były przez publiczność i krytykę — tak, jak i „Śluby“ — z entuzjazmem, dziś zaś — ukryte głęboko na zakurzonych regałach bibliotek czekają, niejednokrotnie bez skutku, na uczono, który zechciałby je przejrzeć.

„Śluby panięskie“ — przeciwnie. W przeciągu trzech lat od chwili wystawienia tej sztuki w Warszawie (w rok po prapremierze lwowskiej) dano tu aż 11 przedstawień, co wówczas było liczbą dość dużą. A i potem, wystawiane setki razy na scenach miast i miasteczek, mające wśród wykonawców najwybitniejszych artystów obok licznych amatorskich zespołów, bawiły „Śluby panięskie“ w epoce romantyzmu i pozytywizmu, w okresie mody i dwudziestolecia, bawią i dziś stają. Jeśli ktoś miałby wątpliwość, czy tak jest istotnie — niech pójdzie na przedstawienie „Ślubów“ do Teatru Nowej Warszawy. Usłyszy częste wybuchy śmiechu na widowni, a jeśli będzie trochę niedyskretny, usłyszy podczas antraktu, że sztuka przeciętnemu widzowi bardzo się podoba.

Na czym polega ów specyficzny, nie starzejący się urok fredrowskiej komedii? — Na umiejętności stworzenia sytuacji zawierających cych duży ładunek humoru, na umiejętności manewrowania swymi bohaterami, na zdolności rysowania tych ludzi, na satyrycznym wreszcie spojrzeniu. Jednakże zdolność rysowania ludzi nie jest rzeczą prostą. Splata się tu bowiem postać czło-

wieka ograniczonego swoją epoką i zależnego od niej (takim go widzi autor i taki przecież jest sam piszący) z człowiekiem w ogóle, jednakim wśród zmieniających się warunków. Jedno bez drugiego nie będzie realistycznym portretem człowieka, oba zaś elementy w jedno złozone tworzą postać mogącą, za pośrednictwem dzieła literackiego, przemawiać długo do ludzi różnych epok.

Dramat łączy się inną prawami niż powieść lub nowela i stany psychiczne bohaterów nie mogą tu być wyrażone tak bezpośrednio, jak pisarzowi wolno to czynić w powieści właśnie. Tutaj ukryć się one muszą za ruchami i gestami, które wykonawcy danej roli sugeruje tekst autora czy jego wskazówki inscenizacyjne. Zdarza się wprawdzie czasem, że z postaci, która w tekście sztuki jest zupełnie bezbarwna i pancerowa, znakomity artysta uczyni może arcydzieło, pokazując człowieka skomplikowanego; dopomaga mu w tym intuicja. Zdarza się jednak i odwrotnie (częściej niestety). Postać zostaje przez wykonawcę spłyconą, przestawiona na niewłaściwy tor. Obawiam się, że tak właśnie postąpił Stanisław Bugajski, kreując (na zmianę z Wiczyżysławem Głińskim, którego nie widziałem) arcytrudną rolę Gustawa w „ślubach“.

Kimże bowiem jest Gustaw? To młody kandydat na Fircyka, utracił, na razie jeszcze nie spe, podobnie jak Fircyk miły, dowcipny, acz kolwiek jeszcze nie cyniczny. Dobrego stryjaska kocha, jego pełną korbę — jak się zdaje — kocha na równej mierze. Mimo to jednak — jak z całej roli wynika — jest to po stać niewątpliwie budzący sympatię swym wdziękiem. Szczególnie sceny końcowe, gdy Gustaw prowadzi po trójną intrygę, należą do koncertowych dla aktora partii. Swoboda, wdzięk, niewymuszoność powinny ce chować wykonawcę Gustawa, rola to bowiem pełna ukrytej poezji. Jak że jednak inny był Gustaw Bugajskiego, jak nie przystawał do saloniku pani Dobrońskiej, do panien, stryjaski, czy nawet czulego Albin, od całego tego niewątpliwie udanego przedstawienia. Gustaw w „Ślubach“ jest postacią wyraźnie pierwszoplanową i było już dużym błędem wybierać na jego odtwórcę aktora z niezbyt odpowiadającymi do tej roli warunkami zewnętrzny mi. Bugajski czuł się trochę skrupolowany swą rolą panien, robił mi nę wiecznie głupawa, aż dziw brał, skąd wzięło się w tej lepetynie tyle konosptów i skąd ta skomplikowana intryga, jaką snuje, patrząc na świat oczyma, w których dostrzegało się bez trudu wyraźny brak inteligencji. Zabrakło mu wdzięku, zabra-

kło — i to przede wszystkim — swobody, jaką mimo wszystkich zastrzeżeń czarował w swym Fircyku Wołlejko, jaką czarował i w „Ślubach“ w roli płacziwego Albina. Zarzucano wprawdzie Wołlejce zbyt pręską przesadę w geście, dodawano, że traktuje swą rolę niezbyt serio. Wszystko to prawda, u pani Dobrońskiej jest on jednakże na swoim miejscu — przeciwnie niż Gustaw pasuje on do środowiska, jest po prostu jeszcze jedną interpretacją Fredrowskiego Albina.

Obie panie grały bardzo młodzieńczo. Naiwność Anieli (Irena Inatowicz) w połączeniu z jej troszeczkę groteskową powierzchownością (mru ganie długimi rzęsami) dawały często efekty komiczne, rola zagrana z dużym wdziękiem panienki, bardzo jeszcze zielonej. Klara w ujęciu Barbary Krafftówny była trochę jej przeciwnością. Zaczepna, ruchliwa i pewna siebie nosiła w sobie za łąkę buntu, którego brak jej kuzynce. Kończąc rozpacz Klary brzmiała szczerą nutą, a przywołanie Albina nie było czymś desperackim jedynie, lecz — mądry Polak po szkodzie — brzmiała chęcią naprawienia dotychczasowego lekceważenia kochanka, w czym, oczywiście, dużą rolę grała obawa, że go utraci.

Reprezentanci starszego pokolenia — Irena Renard jako pani Dobrońska i Janusz Strachocki jako Radost bardzo na swoim miejscu, Dobrońskiej



Radost — J. Strachocki

nie dodać, nie odjąć; Radost zaś mógłby czasami pogniewać się na bratanka... trochę bardziej na serio. Postać z bogatej galerii fredrowskich znaczących stryjasków była ciepłym akcentem warszawskiej inscenizacji „Ślubów“.

Jan Ryszard rys. Jerzy Gorazdowski

»Siódme poty«

POZNAN otrzymał teatr satyryków. Delegatura ARTOSU od dawna zabiegała o stworzenie stałej sceny humoru. Po niezbyt udanych — przedwakacyjnych poniedziałkach satyrycznych w Komedii Muzycznej, miejscowi satyrycy (tj. grono, aktorów, dziennikarzy, literatów i muzyków) zgłodził się na dobre w gmachu Teatru Miodowego Widza, okupując go wieczorami. Wystąpili oni z inauguracyjnym programem pt. „Siódme poty“ podczas niedawnych, wrześniowych dni Poznania.

Prowincjonalne imprezy satyryczne pozostają na ogół pod przemożnym wpływem repertuaru i pomysłów stołecznych scen humoru. Wobec kryzysu twórczości satyrycznej — z konieczności skazane są na powtarzanie wielu pozycji. Lecz ze sposobu, w jaki młody zespół walczy o uzyskanie własnego, swoistego oblicza, wnosić można o trwałości jego powodzenia. Wiadomo, że eklektyzm programowy jest najłatwiejszą pokusą teatrzyków tzw. „małych form“, lecz z reguły nie wiedzie do trwałych sukcesów. Najtrudniej o programy związane jakąś wyrazistą zasadą kompozycyjną, jakąś myślą przewodnią, która zapewni im większą siłę odbioru i trwałości w pamięci widzów.

Tym razem myśl przewodnią nasunęły dni Poznania. Znalazły swe bogate odbicie w słowie i w muzyce. Elementy lokalne rozmieszczono dość harmonijnie w programie, choć szkoda, że zabrakło aktualnego, poznańskiego akcentu w finale. Punktem węzłowym „Siódmych potów“ okazała się szopka kukielkowa płora J. Karpińskiego (lalki Nota i Krauzego), prezentująca szereg znanych w mieście osobistości. Droga lokalnej parodii, zaakcentowana silnie w kukielkowej rewii, zdaje się wytyczać trafną, na długo jeszcze nie wyczerpaną drogę poszukiwań satyrycznych. Największym powodzeniem cieszyły się występy znanego dyrygenta i pedagoga, dyr. Spiewajewa oraz jego primadonny, Basi Koloraturskiej. (Nazwisk, skrytych za tymi ażurowymi pseudonimami nie zdradzę. A nuż przeczyta te słowa ktoś spoza Poznania, a nuż nie zorientuje się — odpadnie zarzut plotkarstwa). Tekst szopki równie efektownie przedstawił artystycznego kierownika teatru satyryków, Jerzego Korczaka. Szkoda, że autor nie wykorzystał wszystkich możliwości, jakie otwierało zetknięcie dwóch popularnych recenzentek teatralnych z kierownictwem literackim scen poznańskich. I szkoda, że poza dyr. Spiewajewem — lalczkom, tak podobnym do wzorów żywych i zarazem tak obdarzonych elementem groteski, zabrakło gestykulacji i ruchów głowy, co znacznie ożywiłoby piosenki. W każdym bądź razie szopka odniosła wielki sukces, a jego miarą jest pogłoska o literacie, który głęboko wziął sobie do serca, że go nie sparodiowano. Jakież wymowne pocieszenie dla tych klientów szopki, którzy mogliby hodować w sobie bakcyla obrzydzenia.

Równie udaną pozycją okazał się przegląd fraszek i epigramatów od Reja po dzień dzisiejszy. Literackiemu spacerowi poprzez wieki dodało uroku pomysłowe rozwiązanie scenograficzne. Zanotujmy brak jeden, za to bardzo istotny — opuszczenie w tej wesołej antologii dorobku Zielonego Balonika.

Wśród dalszych pozycji znalazły się dwie piosenki o Poznaniu (St. Renza i R. Gardo) w wykonaniu Soni Manthey, okolicznościowy monolog „O pradziach Poznania“ J. Mikołajczaka, znana od dawna na scenach satyrycznych rozprawka K. Gałczyńskiego z grafomanami (monolog „Zona Wacława“) oraz skecz Szpalskiego, Waldorffa, Korkozowicza i Brzezińskiego. Zgodnie z literackimi ambicjami swej sceny, satyrycy poznańscy włączyli do programu jeden numer w tonacji nie satyrycznej, opowiadanie K. Gruszczyńskiego o żołnierskiej mogiła na dnie morza Cymlińskiego w sugestywnym, choć zbyt dynamicznie wyrażonym, wykonaniu Z. Rysłówny. Spektakl zakończył fragment komedii satyrycznej W. Majakowskiego pt. „Kaźnia“.

Proporcje między poszczególnymi gatunkami satyrycznych małych form w programie poznańskim nasuwają pewne zastrzeżenia. Elementy dramatyczne zdecydowanie przeważały nad muzyką. Tylko one zresztą leżały na linii satyry i one godziły się z tytułem całości. Obie piosenki dźwięczały sentymentem, a duet fortepianowy Morawskiego i Renza ukazał jedynie biegłość techniczną. Zabrakło satyry i groteski muzycznej, do której zawsze dostarcząca wszelkiego rodzaju parodie i trawestacje znanych utworów, postłże mistrzów itp. Zresztą można by połączyć w satyrze słowo z muzyką i przypomnieć puściznę Mariana Rętgena, choćby jego sławetną balladę o urzędzie skarbowym, tak jak przypomniał satyryków-rymopisów.

Inteligentna i błyskotliwa, spokojna w tonie, konferansjerka A. Hanuszkiewiczowa, oparta o zasadę anegdotalną nawiązującą do następnego numeru, dołożyła jeszcze jeden walor do udanego spektaklu. Odosobnionym głosem, wlotajacym o ton „swojskiej gawędy“ w konferansjerce, pod pozorem rzekomo wygórowanego poziomu zapowiedzi Hanuszkiewiczowa, należy dać zdecydowaną odprawę. Zakrawa to na usprawiedliwienie łatwizny. Czas już skończyć z notorycznym pomawianiem tzw. najszerzej publiczności o infantylizm intelektualny. Żywa reakcja widowni i bliski kontakt ze sceną, właśnie dzięki zapowiedziom, świadczą o tym dobitnie.

Wśród wykonawców ujrzałszy dobrych znajomych, którzy nieraz już dowiedli, że posiadają rzadki dar komizmu i umieją nim operować, jak A. Gajdecki, A. Sobolewska, I. Detkowska, E. Kotarski czy Z. Reiski. Inni — Barczewska, Kamiński, Posselt poprawnie spisał się w swych rolkach. Adam Hanuszkiewicz posiada w Poznaniu dobrą reżyserką markę, zbierał też tym razem oklaski nie tylko za zapowiedzi, lecz również za reżyserię programu. Po zasłużonym sukcesie „Siódmych potów“ mamy prawo do kierownictwa artyst. J. Korczaka, muzycznego St. Renza i scenografii R. Feniuka oczekiwać również udanych, nowych programów satyrycznych. Zadanie szczególnie odpowiedzialne, zwłaszcza na polu satyry, gdzie nie działa siła rozpędu i gdzie kontynuacja kosztuje znacznie więcej trudu oraz inwencji niż inauguracja. (Ap)

W Teatrze Polskim — przy głośniejszym aplauzie widowni: Sprawa rodzinna

Sprawa rodzinna Jerzego Lutowskiego. Sztuka wzięła. Prawdopodobnie dobiegła do jubileu szowej setki. Żywiący szczerą szacunek dla idei Sprawy rodzinnej, uszczelnionym rozpatrzonej w prasie i czasopiśmiennic twie specjalnym, idei, w której, jak w przysławie, oscylują różne barwy naszych dni codziennych — otóż do brze mając w pamięci wartość treści, godzi się pochwalić technikę, kondensację artystycznego mozolnu pisarza. Zresztą nawet drwiąca fraza Wolle- ra uznala technikę utworów dramatycznych za przedmiot serio. Rozpisywał się o niej twórca Zairy obzer nie i z predylecją przy każdym początku nowego dzieła. Znać gust publiczności wielkie pokładał nadzieje na efektach wystawy, zwłaszcza, gdy po 1759 r. uprzętnięto markizów-asystentów ze sceny na parter i do łóż, otwierając dogodną przestrzeń dla artystów i dekoratorów. „Czyż to nie prawda — interpekuje Wolter jedną ze swych przyjaciółek — że chciałaby pani tragedii w nowym stylu, pełnej szumu, działania, wystawności obfitującej we wzruszenia, sytuacje, charakterystyki prawdziwe i zarazem nowe?“ Jerzy Lutowski w swojej praktyce dramaturgicznej na to pytanie Woltera odpowiedział twierdząco, oczywiście redukując wystawność i szum na rzecz nowych sytuacji i nowych charakterów. Nowość — to w danym razie równoległość z życiem, sprawnosc w ustawianiu scenicznych refleksjów na to życie. Wycieczka w stronę Woltera jest w istocie zamierzeniem celowym. Wolter zawsze i wszędzie linknął aktualności. Był na nią zachlanny pod różnymi postaciami:

U dolnośląskiej Melpomeny

Mahometów, Tankredów, Merop, Alzyr, uwieńczonego laurem Irym itd. Co zaś naprawdę zdumiewa — to fakt, że umiał uzyskać wdzięcznych czytelników wśród ludzi jak najmniej podobliwych na jego Kandydowce kpiniki. Papię Benedykt XIV w liście do Woltera nazwał Mahometa „la sua bellissima Tragedia“. Otóż na szym dramatopisarzom należałoby je dymnie żyć tej Wolterowskiej pasji w rozbijaniu jądra aktualności, tej swady, zwinności i obrótnej taktyki. Na kartę Lutowskiego można postawić sporo. Jest w nim ciekawość rzeczy, upodobanie konkretnu. Dialog przecacza mu się pod piórem, jak myś w pazurach kota. Podobna w nim celność, ekonomia, przypasowanie do mowy zwykłej, codziennej, jak na przykład u Zapolskiej. Coś tam z Zapolskiej wniknęło i do „robieńcia atmosfery“ na scenie. Zaraz w pierwszym obrazie Sprawy rodzinnej — te soczyste wyrzekania matki, ta jej kmetyczność, ta matowść i bezruch ojca, to łobuzerskie rozwałęsanie syna — to jakby zawiew Moralności pani Dulskiej. Naturalnie innej tu rangi ludzie: wyższej, szlachetniejszej, nie koltneria mieszczańska. Mimo to — analogia techniki. Recenzje lokalne wytworzyły dokła Sprawy rodzinnej klimat ciepły. Wrażenia widów — znacznie cieplejszy, powiędziabym, gorący. Jeden z recenzentów, Tadeusz Lutogniowski, rozłożył satukę Lutowskiego na czynniki pierwsze:

„Jerzy Lutowski — czytamy — przez pryzmat jednej rodziny ukazuje w niej sprawy tak bynajmniej nie wyłącznie rodzinne, jak za godnienie racjonalizacji i nowatorstwa w walce z konserwatyzmem i przestarzałymi metodami pracy, jak kwestię pokonywania codziennych trudności i problem walki o nowy, socjalistyczny styl życia, sprawę współgospodarzenia majątkiem narodowym i wzajemnego zrozumienia w osobistych stosunkach między ludźmi, jak wreszcie i przede wszystkim problem niustannej czujności wobec wroga“. W tym sumiennym bilansie „watków zasadniczych“ nie już dorzucić nie można. Trzeba za to nadmienić, że Lutowski, co zresztą widoczne z cytatu, wystąpił w podobnym charakterze: jako malarz środowiska (ojciec, matka, Tomek, Feliks) i jako autor sztuki sensacyjnej (Rostkowski). Pierwsze lepiej mu się udało. Drugie — gorzej. W swoim malarstwie obyczajowym o tematyce robotniczej na Lutowski pędził delikatny i czuły. Majster Kamński — sama rzetelność, sama szlachetność zawodo wa, w ogóle etyka najwyższej miary — przygaszony racjonalizatorstwem syna, zżona majstra, wybuchająca raz po raz narzekaniem i gorącym uczuciem — to postacie robotnicze, jak z najgłębszych sztuk radzieckich: Znakomita rodzina, Świt nad Moskwą...

została przyfastrygowana nieco grubymi nićmi. Problem ważny. Na to zgoda. Tylko Rostkowski... W założeniu ukryty wrog. Tymczasem szpieg czy wysłannik szpiegowski jest w nim dostrzegalny i wyczuwalny, jak młodo pensjonarki. Rostkowski z pozorem diabolizmu gra właściwie „pierwszą nawią“ Sztuka sensacyjna, jeżeli ma być dobra, musi się zalecać precyzją matematycznego zadania lub mistrzowskiej partii szachów. Przejrzyj nie ma w psychice Rostkowskiego. Nie ma jej również w finale: jaki był właściwie realny skutek pomysłu dokumentowy, czy Tomek dostał obiecane dwa tysiące złotych, co się dzieje z Rostkowskim? Reżyser, Szymon Szurmiej, zaakcentował różność stylów Sprawy rodzinnej przez różny styl gry aktorskiej. Najpierw tedy realizm czystej wody. To Jan Wiśniewski w roli majstra Kamńskiego. Gra z tłumikami, dyskretna a wzruszająca, zatajony żal do syna, że go przez swe racjonalizatorstwo wypiera z uprawianej latami sztuki ręcznego polerowania reflektorów. Doskonała figura sceniczna w geście, w tym, co mówi i we wszystkim, co niedopowiedziane. Albo matka, Irena Netto. Przez kontrast — trafnie w reżyserii dobitny — wylewność, gadulstwo, ani zdłbia powściągliwości. Robotnicza matka-piastunka, co miewa oczy przymknięte na zło, na chwast we własnej rodzinie li tylko z nadmiarem dobroci. Drugi styl — psychologizm. To Irena (Re-

nata Fijałkowska), zżona Feliksa, sędzka architektury, trochę zbyt wy chuchana przez reżysera na okaz gablotki jubilerskiej. Droga zwątpień, wahań, obrachunków odbyta zgrabnie, bez większych potknięć. Feliks (Stanisław Jusukiewicz), wynalazca pelen impulsów, rozbiegany w obruchach, skupiony jednocześnie na jednej myśli, ocknięty przez zagadkę w osobie własnej żony i sensacyjną niespodziankę w wykradzeniu własnych planów przez rodzonego brata. Postać kinetyczna. Wreszcie Tomek (Henryk Hunko), wysmienity Tomek, najwięcej naladowany psychologizmem. Wyładowanie tego psychologizmu w dawnych stosunkach przy naturalnych krótkich spięciach, iskrach, zupełnych aberacjach i potwornych wzmoczeniach energii — to tryumf sztuki aktorskiej Henryka Hunki. Na koniec — styl sensacyjny. Wytworny gogus w garniturach o nieposzlakowanej linii, wytkrojony z najprzedniejszych żurnalów — bi glarz, w pół drwiący, na pół serio: Krzysztof Rostkowski w kreacji Igora Przegrodzkiego. Nieporadność autora sztuki w zakresie intrygi sensacyjnej została wyraźnie zdublowana przez grę aktora, coś nie coś za formową. Zamiast łisim sposobem zacie rać ślady — ten „wysłannik jakiejś mafii szpiegowskiej“ (definicja T. Lutogniowskiego) robi wszystko, żeby te ślady były jak najtrwalsze. Jawny biglarz i jawny szpieg. W takim razie co demaskować? Gdzie ważny atut niespodzianki? „Skończyłem. Zyczeń, czytelniku, zdrowia“, powiada Norwid w zakończeniu pierwszego dialogu Promethidionu. Jag.

Kilka słów o:

—filmie

Z KRĘGU BAŚNI FILMOWYCH

Czarująca bajka Williama Hauffa o małym Mucku została niedawno sfilmowana i cieszy się obecnie wielkim powodzeniem na ekranach miast i wsi Demokratycznej Republiki Ni-

tułowej wystąpił wybitny aktor niemiecki, Thomas Schmidt.

NOWY FILM RADZIECKI

W połowie października odbył się w Moskwie pokaz nowego kolorowego filmu fabularnego pt. „Srebrzysty pył”. Film ten w reżyserii zasłużonego artysty ZSRR, laureata Nagrody Stalina, A. Rooma, nakręcił wytwórnia Mosfilm. Scenariusz oparty został na sztuce

szeregiem filmów dokumentalnych. Film pt. „Wesoły pokaz” poświęcony jest najlepszym zespołom artystycznym; film pt. „Pod miastem” opowiada o budowie metra w Budapeszcie. Tematem filmu „Miasto młodych” jest budowa pierwszego socjalistycznego miasta na Węgrzech — Stalinvarosu.

—muzyce

KONCERT POLSKIEGO SKRZYPKA

W połowie października odbył się w Budapeszcie koncert polskiego skrzypka Igora Iwanowa, laureata II Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Wieniawskiego. Igor Iwanow wykonał utwory muzyki klasycznej oraz utwory kompozytorów radzieckich, polskich i rumuńskich. Występ polskiego skrzypka cieszył się dużym powodzeniem.

NOWE DZIELA A. CHACZATURIANA

W bieżącym sezonie dwa największe teatry muzyczne w Moskwie i w Leningradzie wystawią nowy balet pt. „Spartak”, do którego muzykę skomponował Chaczaturian. Libretto w oparciu o powieść włoskiego pisarza Giovanolli napisał N. Wikow.

Jednocześnie znany kompozytor pracuje nad czterema rapsodiami, które kończą cykl koncertów instrumentalnych na fortepianie, skrzypce i wiolonczelę z towarzyszeniem orkiestry. Planuje również napisanie muzyki do sztuki Ławrenowa „Lermontow” i muzyki do tragedii Szekspira „Makbet”.

WYSTĘP POSTĘPOWEGO ARTYSTY

Po dwuletniej przerwie, w wielkim teatrze Etoile w Paryżu wystąpił znany śpiewnik i aktor francuski Ives Montand. Premiera cyklu występów popularnego artysty stała się według słów recenzenta „Humanité” „najwspanialszym wieczorem sezonu”.

gromadząc na sali teatru Etoile nie tylko tłumy wielbicieli piosenek Montand, ale i wszystkich znanych literatów, artystów, uczonych i malarzy.

ARTYŚCI POLSCY W MOSKWIE

W związku z Miesiącem Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej 24 października przyjechała do Moskwy na zaproszenie Ministerstwa Kultury ZSRR delegacja artystów polskich.

W skład delegacji wchodzi: dyrygent S. Wistocki, pianistka B. Hesse-Bukowska, solista opery E. Kossowski i pianista S. Nadgryzowski.

—teatrze

TEATR IM. WACHTANGOWA Z MOSKWY PRZYBYŁ DO POLSKI

W dniu 22 bm. na zaproszenie Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą przybył do Państwowego Teatru im. Eugeniusza Wachtangowa z Moskwy. Teatr ten jest odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru Pracy.

W czasie miesięcznego pobytu w naszym kraju zespół Teatru im. Wachtangowa wystąpi z szeregiem sztuk, zarówno z repertuaru klasycznego, jak i współczesnego — radzieckiego i zagranicznego.

„ROSENBERGOWIE” NA SCENIE LONDYSKIEGO TEATRU

Londyński teatr „UNITY” wystawia obecnie sztukę Erica Patca i Williama Bland pt. „Rosenbergowie”.

O sztuce tej arcybiskup Canterbury Johnson powiedział: „Ze względu na jej wstrząsający realizm, chcielibyśmy, aby sztuka ta była udostępniona na najszerszym masom społeczeństwa angielskiego w całym kraju”.

NOWY SEZON W TEATRACH WĘGIERSKICH

Nowy sezon teatrów budapesztańskich rozpoczął się pod

WITOLD GAWDZIK

FRASZKI

K r y t y k

Krytyk pewien bardzo wiernie
Trzyma się wciąż takich zasad:
Autor znany — świetne, klasa
A debiutant — słabe, mierne...

Na dzieło »bojowego« satyryka

Skrytykowani ponoć wzięli się do dzieła:
Część śmiała się z autora, część twardo zasnęła.

Po przeczytaniu pewnej współczesnej powieści

Na twórcę tej powieści
Porwał mnie gniew:
Drań, najpierw psuł atrament,
A teraz krew.

Z ł o ś l i w e j

Że język posiadasz ostry,
Nie da się zaprzeczyć;
Tępy nie mogłabyś, siostrzo,
Tak mowy kaleczyć.

znakiem sztuk współczesnych. I tak na przykład Budapesztański Teatr Narodowy wystawia komedię Erna Urbana „Ogórczane drzewo” — satyrę na biurokrację, zaś Państwowy Teatr im. Madacz przygotowuje sztukę młodego węgierskiego dramaturga Mikłósza Diarfiasza pt. „Wierność” o tragedii małżeństwa Rosenbergów.

Znaczące miejsce w repertuarze teatrów budapesztańskich zajmują sztuki radzieckich dramaturgów — niedługo wejdą na afisze: w Budapesztańskim Teatrze Narodowym dramat A.N. Ostrowskiego „Burza”, w Teatrze im. Józefa Katona „Druga miłość” — E. Malcewa i N. Wenkstern, w Państwowym Teatrze im. Madacz „Trzy siostry” — Cze chowa i „Tu mówi Tajmyr” Isajewa i A. Halicza. Teatr Węgierskiej Armii wystawia po raz pierwszy na Węgrzech sztukę L. N. Tolstoja „Piody edukacji”, zaś Opera Budapesztańska przygotowuje operę pt. „Młoda Gwardia”.

W związku z Miesiącem Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w całym kraju odbyły się liczne imprezy „Tygodnia radzieckiej książki i prasy”. W miastach, wsiach i osiedlach zorganizowane zostały kiermasze, loterie oraz wystawy obrazujące bogactwo literatury radzieckiej.

W licznych zakładach pracy w całym kraju zorganizowano także tzw. festyny książkowe i kiermasze.

RADZIECKA DELEGACJA W LONDYNIE

8-go listopada odbędzie się w londyńskim „Empress Hall” pod protektorem arcybiskupa Canterbury uroczysta akademii powitania delegacji radzieckiej, przybywającej do Anglii w związku z 36-tą rocznicą Rewolucji Październikowej.

„DON CARLOS” PO RAZ SETNY

Teatr Współczesny w Szczecinie obchodzi jubileusz setnego przedstawienia „Don



Zdjęcie z filmu „Mały Muck” produkcji N.R.D.

Hauff, jak wiadomo, należy do autorów klasycznych literatury dziecięcej. Żył i tworzył w połowie dziewiętnastego wieku. Jego „Karawana” i „Kalif babiloński” nie ustępują w pomysłowości i barwności fabuły bajkom z tysiąca i jednej nocy.

Film o Mucku reżyserował Wolfgang Standte, laureat nagrody państwowej. W roli ty-

FILMY WĘGIERSKIE

Nowy film węgierski „Dzień gniewu” oparty jest na sztuce Szandora o tym samym tytule. Tematem sztuki jest rewolucja 1919 roku na Węgrzech. Zakończono również prace nad

Aktualia KSIĘGARNIANE

W księgarniach warszawskich prowadzących dział książek importowanych pojawiła się ostatnio antologia współczesnej poezji polskiej pt. „Nová polská poesie”. Po wydanym w roku 1947 wyborze poezji polskiej z lat 1938 — 1945 „Pochodnia” — jest to drugi z kolei powojenny tom zbiorowy poezji polskiej, który otrzymuje czytelnik czeski. Estetycznie i starannie wydana przez wydawnictwo „Ceskoslovensky spisovatel”, uważnie, choć nie bezbłędnie zredagowana przez wybitnych znawców literatury polskiej, poetów Jana Pilarza (autora wszystkich tłumaczeń „Pochodni”), Jarostawa Zavady oraz Ericha Sojki — zawiera antologię ta utwory 39 współczesnych poetów polskich w przekładach redaktorów zbioru oraz szeregu innych tłumaczy. Postawie Jarostawa Zavady, noty biograficzne oraz przypisy i wyjaśnienia pióra Ericha Sojki uzupełniają ją wybór.

Zarówno polska, jak i czeska krytyka literacka radośnie powitała ukazanie się „Nowej poezji polskiej”. Artykuły i recenzje w tygodnikach (Literární noviny) i miesięcznikach literackich (Nový život, Slovanský přehled) — wskazując na celowość wydawnictwa — zwróciły uwagę na nieodpowiedni dobór autorów i utworów oraz słaby, w niektórych wypadkach, poziom przekładów. W artykule pt. „Igraszki z czytelnikiem” (Przegląd Kulturalny nr 38) Jarostaw Iwaszkiewicz na marginesie lektury „Nowej poezji polskiej” i „Pages polonaises” pozytywnie ocenił układ i poziom przekładów w antologii czeskiej, występując przeciwko bałamutnym i niepełnym notkom biograficznym. Z przedstawionymi powyżej opiniami nie trudno się zgodzić. Rzeczywiście klasyfikacja rangi literackiej i poziomu artystycznego była zbyt łagodna: W rezultacie do antologii dostały się słabutkie wiersze Włodka, Fiszera, Sikirzyckiego, Witczaka — zabrakło zaś Ilakowiczówny, a z niezających Weintrauba, Gmezanki, Baczyńskiego i Gajcego (utwory dwu ostatnich znajdują się w antologii z r. 1947). Dalej: satyryków reprezentują tylko Prutkowski i Marianowicz, a nie Szpalski czy Kern.

Sprawa następna. Zaproszeni do współpracy tłumacze nie zawsze wywiązali się ze swych obowiązków. Obok doskonałych (zbyt może swobodnych) przekładów Jana Pilarza, który dał się poznać jako dobry tłumacz (oprócz „Pochodni” przełożył też szereg wierszy J. Tuwima, które złożyły się na tom „Słowem do krwe” (1949) z pogłowiem K. Krejczewego), starannych i na ogół poprawnych tłumaczeń Sojki, Zavady (niedawno ukazały się „Ballady i romanse” Mickiewicza w jego przekładzie), Rumlera i Skyby — znalazły się nieudolne próbki Adolfa Hoffmeistera, z którego choć dobry powieściopisarz („Turysta mimo woli” Awir 1947 w przekł. Z. Hierowskiego),

*) „Nová polská poesie”, Československy spisovatel, Praha 1952, str. 230 + 2 nb. Nakład 3000 egz.

ale tłumacz żaden. Jeden z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających wierszy W. Broniewskiego „Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego” — został skarykaturowany, co „zawdzięczać” należy nieznajomości rzemiosła translatorskiego Hoffmeistera.

Niezupełnie zgadzając się ze zdaniem J. Iwaszkiewicza co do układu, wyborów utworów i poziomu przekładów — podpisuję się obu rękoma pod drugim zarzutem: bałamutności i niepełności notek biograficznych. I to nie tylko w wypadku Prutkowskiego, którego pasowano na dramaturga, czy Iwaszkiewicza. Znajdziemy wiele innych nieścisłości i nieudolności. Dowiadujemy się m.in., że Braun wydał swój pierwszy tomik w r. 1940 (zamiast 1948 — „Szramy”) a o Kubiaku i Różewiczu, z których każdy wydał po pięć tomów wierszy, że należę do młodych, zdolnych poetów. Brak również choćby wymienienia głównych tomów poetów, których utwory weszły do antologii.

I zarzut ostatni: J. Zavada w postwowie informuje, że antologia ma zapoznać czytelnika czeskiego „z poezją polską ostatniego dziesięciolecia”. Stan faktyczny przeczy temu sformułowaniu: znaczna część wierszy Broniewskiego — to jego utwory przedwojenne, także „Powrót na Powiśle” St. R. Dobrowolskiego powstał blisko 20 lat temu.

Obrazowi współczesnej poezji polskiej w świetle omawianej antologii daleko do pełni. Czytelnik czeski jednak zaznajomi się bliżej z utworami naszych poetów (znanych mu dotychczas tylko ze sporadycznych przekładów na łamach czasopism) przede wszystkim Broniewskiego, Wygodzkiego, Jastruna, Iwaszkiewicza i Galczyńskiego, Brauna i Woroszyńskiego — twórczość ich bowiem najpełniej przedstawiają zamieszczone przekłady.

Na zakończenie tych uwag krytycznych (nie recenzji) — wypada usprawiedliwić zbyt może surowo potraktowanych redaktorów zbioru — oparli oni swą antologię na nie przyjętym u nas projekcie wyboru poetów współczesnych Ryszarda Matuszewskiego z roku 1949 — i w nielicznych tylko wypadkach sięgali do późniejszych tomów naszych poetów. Fakt ten tłumaczy wiele.

Ukazanie się „Nowej poezji polskiej” wywołało ożywioną dyskusję w Czechosłowacji. W Polsce, jak mi się zdaje, nie skwitowano jej nawet krótkim omówieniem, jeśli nie liczyć wzmianki Iwaszkiewicza, której nie można nazwać recenzją. Sądzę, że głosy polskich krytyków odegrałyby ważną rolę przy ewentualnym redagowaniu następnego wydania, a także przypomniały naszym poetom-tłumaczom o rewanżowym choćby przygotowaniu antologii współczesnej poezji czeskiej i słowackiej — wydanej bowiem w r. 1951 (Wyd. M.O.N.) wybór wierszy pt. „Nadzieja” (wiersze poetów czeskich i słowackich) ukazuje tylko wąski wycinek tematyczny współczesnej poezji narodów Czechosłowacji.



„Don Carlos” w Szczecinie

Carlosa” Schillera. Sztuka ta w reżyserii Emila Chaberskiego stanowi wybitne osiągnięcie artystyczne zespołu aktorskiego i technicznego teatru. Dotychczas przedstawienie to obejrzało 40 tys. widzów. Chcąc udostępnić szer-

Redaguje zespół
Prenumerata miesięczna 4 — zł. Kwartałna 12 — zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43. I p. tel. 860 11, 860 12.

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3. Zam. 2474. 4-B-10893.